ODRODZENIE

TYGODNIK

Cena 25 zł — Warszawa, dnia 29 stycznia 1950 r. — Rok VII Nr 5 (270)



MIJA PIERWSZY WIEK...

UWIEŃCZENIE ROKU MICKIEWICZOWSKIEGO

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

* * *

Otwieram podniosłą uroczystość odsłonięcia pomnika Adama Mickiewicza.

Przypadł mi w udziale trudny i zaszczytny obowiązek przemawiania u stóp pomnika naszego największego narodowego poety. Przemawiam w imieniu pisarzy polskich oraz Rady Narodowej st. m. Warszawy.

Za chwilę ujrzymy tę ukochaną postać... Warszawo, Polsko cała, wielka to i piękna chwila.

Jakże ogromna jest potęga poezji tego, który „urodzony w niewoli, okuty w powiciu", słowem swoim niepodległym znaczył drogi swej Ojczyźnie. „Nazywam się milion, bo za miliony kocham i cierpię katusze". On kochał swój naród, kochał lud i księgi jego dziś naprawdę „zbłądziły pod strzechy".

Wielki Adamie! Oto miasto nasze przed tobą, zdruzgotane okrutnie, ale zawsze niepodległe. Oto kraj cały wita posąg twój, pielgrzymujący zawsze ku lepszemu jutru.

Z piedestału zwaliła cię ręka barbarzyńców, i ucieliśmy tę rękę. Ucieliśmy ją w bratnim sojuszu z wyzwoleńczą Armią kraju socjalizmu. Domy, posąg twój otaczające, w gruzach leżały i wznieśliśmy na nowo te domy. Wznosimy miasta, fabryki, porty, orzemy pola traktorami, pracujemy rzetelnie, lepiej i sprawiedliwiej, niż dawniej.

Słowo twoje kieruje kilofem górnika, pługiem oracza, piórem poety. Słów twoich testament spełnia nasz naród i jego rząd, Rząd Polski Ludowej.

Kochać i czcić ciebie będziemy wiecznie.



ALEKSANDER PUSZKIN

MICKIEWICZ

Był tu śród nas,
Pośród obcego plemienia. W duszy
Nie żywił dla nas nienawiści. Myśmy
Też go kochali. Cichy, dobrotliwy,
Był uczestnikiem biesiad naszych. Z nim
Dzieliliśmy się i marzeniem czystym,
I pieśnią. (Był natchniony łaską niebios,
Z wysoka więc na świat spoglądał). Często
Mówił o przyszłych czasach, gdy narody
Zapomną waśni — i w rodzinę wielką
Połączą się. Słuchaliśmy poety
Z zapartym tchem...

przełożył Julian Tuwim

ADAM MICKIEWICZ

POŁOŻENIE EUROPY JEST TEGO RODZAJU, IŻ NIEPODOBIEŃSTWEM JEST NA PRZYSZŁOŚĆ, BY JAKIŚ NARÓD MÓGŁ W ODOSOBNIENIU OD INNYCH KROCZYĆ PO DRODZE POSTĘPU, JEŚLI NIE CHCE SAM SIEBIE NARAZIĆ NA ZGUBĘ I PRZEZ TO ZASZKODZIĆ SPRAWIE OGÓLNEJ.

WROGOWIE LUDU W EUROPIE NIE PRZESTALI DZIAŁAĆ SOLIDARNIE; NA KAŻDYM KROKU CZYNEM STWIERDZAJĄ TĘ SOLIDARNOŚĆ. ŚWIADOMI WIĘCEJ NIŻ KTOKOLWIEK INNY SWYCH WSPÓLNYCH NIEBEZPIECZEŃSTW, ZWIĄZALI SIĘ ONI Z SOBĄ, JAK NIGDY PRZEDTEM.

WROGOWIE LUDU W EUROPIE ...MAJĄ SPRZYMIERZEŃCÓW WE FRANCJI... LECZ RÓWNIEŻ WE FRANCJI ZNAJDUJĄ SIĘ NASI NAJBARDZIEJ NAM ODDANI PRZYJACIELE...

...BEZPOŚREDNIM INTERESEM STRONNICTWA LUDOWEGO, JEDYNEGO STRONNICTWA NAPRAWDĘ POSTĘPOWEGO W TYM KRAJU, JEST STWORZENIE MIĘDZY FRANCJĄ, DĄŻĄCĄ DO ZBUDOWANIA SWEJ PRZYSZŁOŚCI, A EUROPĄ, PRACUJĄCĄ NAD WYZBYCIEM SIĘ PRZESZŁOŚCI, STOSUNKÓW RZETELNYCH, A TEM SAMEM ZUPEŁNIE NOWYCH...

„TRYBUNA LUDÓW" Z 14 MARCA 1849

JULIAN PRZYBOŚ

WSPOMNIENIE O FRANCISZKU HALASIE

„I husle mozno priložit
aby vic hrala vzpominka"

I Wełtawa nie zdążyła jeszcze donieść
na straconej z oczu fali
naszych spojrzeń do wspólnego z niebem morza...

a już uścisk twojej dłoni
wpłotły klony we wspomnienie
opuszczonych przez nas alej...

Już poznaję cię po miejscu jak dom który nagle zgorzał.

To jesień wyzłociła wieniec
padający ze wszystkich drzew Pragi
na twoje zastygłe czoło.

To na pierwszych gałązkach nagich
nastroiły ostatnie promienie
twoją skrzypkę ze słów: Ladeni?

Tylko ptak jej przelotny dotyka
tak wysoko,
linijnie,
jakbyś harfy dosięgnął gotyku:
katedralnych wieży na Hradczynie?

Twój ojciec, tkacz, na głuchych niciach
kładł dłoń wierną krosnom i kołom.

Dla twoich słów — robotnicy
aby pojąć ich przestronność
zbudują współzawodnicząc
dom dla sierot na zgliszczu:
w Lidicach.

Listopad 1949.



Adam Mickiewicz — fragment tablicy pamiątkowej w auli starej Akademii w Lozannie.

PAUL ELUARD

MOIM TOWARZYSZOM DRUKARZOM

Ten sam zawód mieliśmy
Który wśród nocy widzieć pomagał
Widzieć to znaczy rozumieć i działać
Widzieć to znaczy być albo zginąć
Trzeba było w to wierzyć trzeba było
Wierzyć że człowiek może podołać
Być wolnym być lepszym
Od losu jaki mu zgotowano
Czekaliśmy wielkiej wiosny
Czekaliśmy na życie doskonałe
Niech więc świtanie się zbliży
By dźwignąć wszystek ciężar świata

PAMIĘCI PAWŁA VAILLANT - COUTURIER

Mieszkam w dzielnicy la Chapelle
I gazeta mojej komórki nazywa się
Przyjaciele Ulicy do was mówią
Nie sprzedajemy tej gazety lecz po prostu rozdajemy ją
Bo kosztuje nas ona nie więcej jak tylko trochę zachodu.

I moje serce jest z Przyjaciółmi Ulicy
Którzy mówią ze mną ośmielają mnie
Żeby być człowiekiem ulicy
Zwielokrotnionym przez przyjaźń, przez chęć
Zostania razem a będziemy silni
Na mojej ulicy przechodnie mają troski te same
I tę samą nadzieję na trochę mniej nieszczęścia
Takie same mają miłości więc moje serce jest z nimi
Całe moje serce jest w ich prostym sercu
Wiem o tym i mówię dla nich
Oni mówią dla mnie i nasze słowa są te same
Nasza ulica wiedzie do innych ulic do innych ludzi
Do innych czasów do czasu twojego
Pawle Vaillant-Couterier który byłeś podobny do nas
Który przysięgałeś na nas i na którego my przysięgamy,

Że pewnego dnia życie będzie lepsze

przełożył Zbigniew Stolarek

WITOLD WIRPSZA

KOSZT ŁODZI PODWODNEJ

Nocą,
w pierwszej połowie stycznia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku
włoska łódź podwodna
najechała na szwedzki statek.

Ćwiczenia wojskowe?
Być może, ćwiczenia.
I pakt atlantycki,
i sprawy sumienia,
i młódź marynarska
przy szkłach peryskopu,
rozruchy w Modenie
i mord w świętym rcku.
Czyż w oczach sternika
kręciła się łza,
że łódź zeszła z kursu
i dosięgła dna?

Nocą,
piętnastu członków załogi
założyło piętnaście aparatów ratowniczych; tylko tyle było na pokładzie.
— Sprowadźcie nam pomoc —
mówili pozostający; było ich pięćdziesięciu.
— Sprowadzimy wam pomoc —
powiedziało piętnastu.
— Chcemy żyć, wierzymy w życie —
mówili pozostający.
Nocą,
piętnastu członków załogi wypłynęło na powierzchnię Morza Śródziemnego.

Nikt owych piętnastu
o zdanie nie pytał.
Bo renta tam rządzi,
gdzie rządzi kapitał:
wypada, że taniej
łódź nową zbudować.
Czy warto ratować?
Nie warto ratować.

I rachmistrz naczelny
w cyfr patrząc się sieć,
zakończył rachunek
i skazał na śmierć.

W moim kraju,
nocą czy dniem,
niezależnie od pogody,
niezależnie od niebezpieczeństwa:

żaden urząd nie ośmieliłby się obliczać kosztów,
na zebraniu partyjnym
nikt by się nie zastanawiał,
na zebraniu rady załogowej
padłby rozkaz: przodownicy wystąp!
Jeśliby nie było przyrządów ratowniczych,
to przodownik pracy Czesław Zieliński
i przodownik pracy Czesław Michałek,
i przodownik pracy Szczepan Kuderski
i tysiące innych przodowników pracy
pobiłoby dotychczasowe rekordy.

Lecz rząd kolonialny
na włoskim półwyspie
przez wszystkie rozgłośnie
ogłosił strat listę.
Na dnie — pięćdziesięciu,
tlen łapiąc ustami,
zamknęło odbiornik
śmierć czując na krtani.
Na młodych przegubach
zegarków gra szept:
jesteście skazani,
skazani na śmierć.

Ćwiczenia wojskowe?
Być może, ćwiczenia.
I pakt atlantycki,
i sprawy sumienia.

Nigdy nie wypłynę na Morze Śródziemne,
dopóki...

YVES FARGE

ŚLADAMI ROMAIN ROLLANDA

W Warszawie bawił redaktor naczelny demokratycznego pisma francuskiego „Action", członek prezydium Światowego Komitetu Pokoju, Yves Farge.

„Rewolucjonista odosobniony" — mówił o Romain Rollandzie Henri Barbusse, pisząc o roku 1914, kiedy to wielki pisarz sam jeden przeciwstawiał się falom szaleństwa, zalewającym świat, i kiedy nie zważając na groźby, bez cienia rozpaczy lub goryczy, wyznawał niezłomnie prawdę, ginącą w nawałnicy pierwszej wojny światowej.

W tymże okresie, pewien komisarz policji, Faralicq, stwierdził w swym raporcie o Romain Rollandzie, co następuje: „Powiedziano już wszystko o tym wspaniałym pisarzu, którego zmysł psychologiczny, wrażliwość i doskonałość formy wydają się być rozwinięte ze szkodą dla jego poczucia moralnego, ponieważ nie widzi on żadnej różnicy między katem a ofiarą, i ponieważ pragnął służyć wyłącznie sztuce, źle służąc Francji".

Książka Rollanda „Ponad tłumem" („Au dessus de la melée") ukazała się właśnie w druku. W okresie naszej młodości, która więdła przedwcześnie w czasie wojny, książka ta przypomniała nam właściwy smak życia. Wystarczył jeden człowiek, aby napełnić nas wiarą, iż nikt z nas nie jest jedynie książeczką wojskową, ani też głupcem, skazanym na przeżuwanie haseł propagandowych. Pewien człowiek myślał, i myśl jego przeniknęła chaos, wśród którego usiłowaliśmy od tak dawna odnaleźć jasną nutę rozumu.

Zachowałem dotąd nieskończoną wdzięczność dla Romain Rollanda, który nauczył mnie, gdy miałem lat 18, iż cierpienia są opłacane sowicie, gdy tylko odnajdzie się prawdę.

Poprzez wszystkie zmienne koleje życia starałem się zachować przy sobie me ukochane książki: „Jana Krzysztofa", „Clérembault", „Lilluli", oraz numer czasopisma „Europe" z dnia 15 lutego 1926 roku, poświęcony Romain Rollandowi z okazji 60-ej rocznicy jego urodzin.

Za każdym razem, gdy czytam te utwory, odczuwam na nowo bolesną radość mych pierwszych starć życiowych, ten rodzaj skurczu wewnętrznego, jakiego doznaje się przy wstępowaniu — z czułością w sercu i z hardym czołem — do walki życia, przy składaniu przysięgi niezdradzenia zasad, na których opiera się najważniejsza nauka na świecie. „A najważniejszą nauką na świecie — powiedział Romain Rolland — jest umiejętność życia w taki sposób, aby czynić możliwie jak najmniej zła, i możliwie najwięcej dobra".

Na jednej ze stron książki, dedykowanej poecie Charles Péguy, zatytułowanej „Trucizna idealistyczna", wypowiedział się według mnie Romain Rolland najpełniej. W książce tej, po przeczytaniu której Maksym Gorki nazwał Romain Rollanda „stoikiem - idealistą", znajdujemy klucz do geniuszu pisarza. Strona książki, o której mówię, znajdująca się również w „Przeglądzie sztuki dramatycznej" z lipca 1900 roku, mogłaby stanowić przedmowę do całej twórczości pisarza.

Romain Rolland mówi tam o załamaniach neo-mistycznych, przeżywanych przez młodzież, głosi chwałę zdrowia, pragnienia czynu, wiary w siłę woli. Żołnierz i pilot, mówi autor, nie powinni nigdy zasypiać. Aby sprawiedliwość zatriumfowała, trzeba inteligencji i jasności umysłu. Trzeba widzieć życie, jakie jest i umieć to powiedzieć. Istnieje jeden tylko środek na rozproszenie gnuśnych złudzeń; środkiem tym jest prawda. Romain Rolland wypowiada walkę pustym pojęciom, płytkim abstrakcjom, słowom zmieniającym ludzi w niewolników, służalczemu lenistwu umysłu ludzkiego, kościołowi, akademiom, Sorbonie. Strzeżmy się igrania z cieniami!

Cóż to za wspaniała karta, dedykowana ludziom wolnym i napisana w celu przygotowania walki i wolności!

Prawda przede wszystkim. I jak mówił Sainte Beuve: „Niech piękno i dobro dają sobie potem radę, jak mogą".

Człowiek, którego czcimy dzisiaj, składał następującą przysięgę: „My ludzie pióra jesteśmy powołani do służby w interesie jutra, którego inteligencja nie jest w stanie bronić".

Zobowiązanie to zostało dotrzymane.

„Jan Krzysztof", w którym autor słyszy już huk nadciągających armat, dedykowany jest „wolnym duchom wszystkich narodów, które cierpią, walczą i które zwyciężą". Książka ta jest na zawsze poświęcona nam.

Przeżywając dramatyczne dzieje naszej epoki, odzyskujemy w zetknięciu z twórczością Romain Rollanda ufność, która daje siłę. Uczucia te wyraził Jean Toussel w liście z Brukseli: „Biegliśmy czytać „Jana Krzysztofa" na głos, aby lepiej zrozumieć te książkę, i tak przeczytaliśmy dziesięć tomów... Było nas czterech wokół „Jana Krzysztofa". „I to jeszcze" — wołaliśmy. „I jeszcze tę stronę" mówiliśmy. „Ta jest najpiękniejsza" stwierdzaliśmy. Wszystkie strony były piękne i wszystkie gorące i dobre. Starczyło ich dla wszystkich, postaci powieści żyły wśród całej ówczesnej generacji.

A zatem pisarz ten był przeciw wojnie! Jakto? Nie wiedzieliśmy o tym. Niemcy zarzucali go obelgami, alianci również. Cóż zrobił takiego, aby ich wszystkich przeciw sobie wzburzyć? Tajemnica. Ale wiedzieliśmy, iż wydał wojnę wojnie... Pozostał jeden Człowiek na świecie — świat był godny miłości".

Kiedy ktoś składa hołd zmarłemu, kiedy przypomina jego osobę i jego myśli, naraża się zawsze na niebezpieczeństwo zarzutu, iż zdradza jego pamięć. Nie możemy bowiem powiedzieć, co zrobiłby dzisiaj Ten, którego pragnęlibyśmy jeszcze mieć wśród nas. Człowiek związany jest ze swym życiem i życie to jest świadectwem człowieka. A kiedy zjawił się wśród nas człowiek, aby stworzyć wielkie dzieło, mające głęboki wpływ na całe jego pokolenie, wtedy mamy prawo odświeżyć nasze wspomnienia i mówić o potężnych więzach, łączących z nim takich samych bojowników. Najważniejszą sprawą jest wiedzieć, co czynić nadal, aby pozostać wiernym dziełu Romain Rollanda.

Przeżywamy po raz drugi niespokojny okres powojenny i uświadamiamy sobie istnienie nowych niebezpieczeństw.

Wszystko, co napisał Romain Rolland, posiada jednakową wartość w chwili obecnej: wszystko, co napisał o sprzysiężeniu kłamstw, o ujarzmieniu myśli, o „wolnej myśli, jednej, wielorakiej, wiecznej".

Wartość posiada wszystko, co napisał kiedyś na ściśle określony temat. Przykładem tego jest list, wysłany w dniu 12 grudnia 1918 roku do Jean Longuet, w którym pisze: „Jeśli nie stworzymy silnej zapory, nastąpi epoka nienawiści, nastąpią wojny odwetowe i zniszczenie cywilizacji europejskiej".

Drugim przykładem jest list, ogłoszony w „Humanité" w dniu 13 grudnia 1918 roku: „Nie jestem zwolennikiem Wilsona. Zbyt jasno widzę, że orędzia Prezydenta, równie zręczne jak szlachetne, zmierzają do zrealizowania na świecie koncepcji republiki burżuazyjnej typu franko - amerykańskiego. A ten ideał mi nie wystarcza".

Trzy lata przedtem, w pozdrowieniu przesłanym pisarzom amerykańskim, malował Romain Rolland losy świata ze śmiałością wyobraźni, która mogła wówczas zadziwiać, ale która obecnie, w roku 1950, wydaje się groźnym przeczuciem: „Jesteśmy dzisiaj świadkami godnego pożałowania antagonizmu wybitnych osobistości różnych państw, sąsiadujących ze sobą i blisko spokrewnionych, różniących się jedynie pewnymi odcieniami, jak na przykład Francja i Niemcy, państw stale przeciwstawiających się sobie i chcących się wzajemnie zniszczyć. Są to zatargi o miedzę, które myśl ludzką boleśnie ranią. Jeśli chodzi o mnie, mówię otwarcie, iż nie tylko zbyt ciasny jest dla mnie ideał jednego tylko narodu, ale zbyt ciasny jeszcze byłby ideał pogodzonego ze sobą Zachodu, a nawet jeszcze zbyt ciasny — ideał zjednoczonej Europy. Nadszedł czas, aby człowiek — człowiek naprawdę żywy — dążył do ideału całej ludzkości, ideału, w którym rasy europejskie, Starego i Nowego Świata, połączą ze starymi cywilizacjami Azji swe skarby duchowe".

Podczas gdyśmy szli do Romain Rollanda, jak się idzie do światła, on sam zaszedł bardzo daleko w swych jasnowidzących przeczuciach. W braterskim hołdzie, złożonym przez Romain Rollanda Ernestowi Tollerowi, przewiduje on hitleryzm. „Wydaje się, iż Niemcy usiłują dopełnić w czasie pokoju dzieła zniszczenia, dokonanego przez wojnę" — mówi Romain Rolland, pisząc o Tollerze, tworzącym w celi więziennej „Poemat więźnia".

Ktoś, kto przeszedł przez piekło obozu lub fortecy ustroju hitlerowskiego, zgodzi się z autorem, czytając krótki rozdział, pisany przez Mistrza Wolności w dniu 1 października 1922 roku, iż „w naszych czasach straszliwego chaosu i powszechnego despotyzmu, jedynym schronieniem dla wolności duszy będzie cela więzienna".

Gabriel Peri, Paul Langevin, Jacques Decour, pisali w czasie swego pobytu w więzieniu hymny pochwalne na cześć życia i pieśni nadziei. Byli bojownikami, pozostając poetami. Nie cierpieli, lub też jeśli cierpieli, ból ich był łatwiejszy do zniesienia, niż ból, który my, żyjący, nosiliśmy w naszych piersiach.

Nie chciałbym rozpisywać się szerzej nad tym etapem tak bardzo wypełnionego życia Romain Rollanda, kiedy wraz z Barbusse'm, a po śmierci Barbusse'a sam, stanął na czele komitetu Amsterdam Pleyel, idąc w pierwszym szeregu walczących i torując drogę tym, którzy dzisiaj w łonie Bojowników o Pokój i Wolność podsycają płomień walki. Ograniczyłem się jedynie do odnalezienia w tym płodnym życiu — myśli, idei i obrazów, które są tworem niespokojnych sumień.

Aby określić swe cele, należy umieć myśleć. Aby wejść na jakąś drogę, trzeba umieć odszukać prawdę. Aby podjąć walkę o tę prawdę, należy być równie twardym wobec zakusów zła, jak wrażliwym na cierpienia ludu.

Obecnie cała ludzkość zna i kocha Romain Rollanda. Ci, którzy walczą, ci, którzy stawiają opór, podjęli na nowo pieśń nadziei Jana Krzysztofa: „Ludzkość podpisze nowy kontrakt z życiem... Społeczeństwo odrodzi się na nowych prawach. Jutro jest niedziela!".

Yves Farge

przełożyła Maria Szletyńska

MÓWI FALA 49...

Uwaga! Uwaga! Mówi fala czterdzieści dziewięć... Mówi fala czterdzieści dziewięć... Włączamy się...

Radio paryskie usiłuje tłumaczyć faszystowskie poczynania władz francuskich w stosunku do Polaków. Radio paryskie twierdzi, że rozwiązane organizacje polskie zostały rzekomo założone dopiero po wojnie i stanowią jakoby mniejszość organizacji polskich. Nie wiemy, komu ta argumentacja cokolwiek wytłumaczy, ale najważniejsze, że mija się ona z prawdą, bo na przykład Rada Narodowa Polaków została stworzona w 1943 roku i walczyła u boku antyhitlerowskich organizacji francuskich. Poza tym rozwiązane organizacje obejmują ponad 80.000 członków, podczas gdy faworyzowane przez Mocha reakcyjne organizacje polskie liczą zaledwie kilkuset członków.

Za okupacji audycje francuskie z Londynu zaczynały się od dowcipnej piosenki: „Radio Paris ment, radio Paris ment, radio Paris est allemand", to znaczy: radio paryskie kłamie, bo jest w rękach niemieckich.

Nie wiemy, w czyich rękach jest ono dzisiaj, ale prawdomówność jest podobna jak za okupacji.

Wyłączamy się...

✦

Uwaga! Uwaga! Mówi fala czterdzieści dziewięć... Mówi fala czterdzieści dziewięć... Włączamy się...

Uciekło ich pięciu — Mikołajczyk, Bagiński, Korboński, Bańczyk i Wójcik. Pięciu kandydatów na wodzów narodu, na naszych zbawców.

Byli zgodni, zgrani, jednolici jak jeden mąż, dopóki chodziło tylko o szkalowanie Polski, o plucie na dorobek własnego narodu.

Teraz przyszło do podziału żałosnego żołdu, wypłacanego przez wywiad amerykański. I oto jednolitość i zgoda prysła. Mikołajczyk, Bańczyk i Wójcik wyrzucili ze swojej grupy Bagińskiego i Korbońskiego. Bohaterska piątka anglosaskich agenciaków rozpadła się więc na dwie partie. W jednej są trzy osoby, w drugiej dwie. Poinformowani twierdzą, że spodziewane są dalsze rozłamy w obu partiach.

Okazuje się jednak, że nienawiść do Polski jest słabym cementem, skoro nie zdołała utrzymać nawet takiego zespołu, który może się pomieścić swobodnie na jednej niedużej kanapie.

Wyłączamy się...

✦

Uwaga! Uwaga! Mówi fala czterdzieści dziewięć... Mówi fala czterdzieści dziewięć... Włączamy się...

Paryskie radio nie lubi nam opowiadać o Francji. Na próżno czekaliśmy na przykład ostatnio na wyjaśnienie buntu żołnierzy francuskich, którzy odmówili wyjazdu do Vietnamu dla tłumienia tamtejszego ruchu wyzwoleńczego. Na próżno czekaliśmy na wyjaśnienie strajku kolejarzy francuskich, którzy solidaryzują się z tymi żołnierzami.

Zamiast tego usłyszeliśmy wczoraj z Paryża BZDURNE, WYSSANE Z PALCA informacje o rzekomej wymianie pieniędzy w Polsce. Jasna sprawa. Po co mówić prawdę o Francji, kiedy radiostacji paryskiej przyjemniej jest kłamać o Polsce i wymyślać BREDNIE na temat naszych pieniędzy. Ta próba ordynarnej dywersji gospodarczej nie może nas zadziwić, gdyż zbiega się z próbami francuskiej dywersji szpiegowskiej, zdemaskowanej niedawno w Polsce.

Wyłączamy się...

✦

Uwaga! Uwaga! Mówi fala czterdzieści dziewięć... Mówi fala czterdzieści dziewięć... Włączamy się...

Jak wiadomo, rozmaite czynniki francuskie skompromitowały się ostatnio haniebnie w naszym kraju. Ujawnienie i aresztowanie szpiega Robineau wraz z całą siecią, skazanie kilku szpiegów francuskich na procesie wrocławskim, kompromitacja kilku francuskich urzędników dyplomatycznych — wszystko to są pigułki niemiłe dla Francji.

I oto reakcyjna prasa francuska sądzi, że znalazła sposób odwrócenia uwagi swoich czytelników od tych nieprzyjemnych rzeczy. Stefan Skrobała, polski praktykant konsularny, usiłuje popełnić samobójstwo. Młody człowiek żyje i jest w szpitalu, ale to nie przeszkadza pewnym dziennikarzom francuskim w przyklejaniu tła politycznego do tego wypadku.

Biedni zaiste ludzie, którym potrzebne są tak niskie metody dla tworzenia politycznej dymnej zasłony z zupełnie niepolitycznej ludzkiej tragedii.

Wyłączamy się...

EWA F.SZER

W walce o pokój

W zachodniej strefie Niemiec zwolniono zbrodniarzy,
By życie zabierali im zabrano winy.
Tysiące sprawiedliwych walczą dzisiaj w Grecji,
Tysiące sprawiedliwych giną w Indochinach.

Niemieccy mego ojca zabili faszyści,
A polscy go wydali. Cień zielonym liściem
Położył się na twarzy w przedrannej godzinie
I wyrosła świadomość kim jest wróg prawdziwy;
W każdym okruchu cienia jest wróg przytajony.

Na leśnym dukcie czają się agenci,
W śląskich fabrykach podsłuchują pracę,
Zachodni władcy niewolnikom patrzą
Na ręce, by ich nie podali naszym.

Aby nie zabito mi brata,
Aby nie zabito wolności,
Aby nie zabito pracy,
Aby nie zabito miłości
Do walki prowadzi Partia.

JERZY PUTRAMENT

TUROŃ I OSTOJA

(Fragment powieści)

1

— Ostatni raz ci mówię: idziesz czy nie idziesz?

— Daj spokój, Franek, rozkaz, to rozkaz. Zawsześ to mówił. I co to za skrupuły? Gdyby mokra robota, no, to jeszcze... Ale zwykła rekwizycja?

Tamten odwrócił się, nie po to, by choćby w oczy im spojrzeć. Cisnął tylko niedopałek na środek izby i znów zagapił się w okno. Adiutant wstał zgarbiony, milczał chwilę, potem z niechęcią sięgnął po ostateczny argument:

— W porządku. Zamelduję — porucznik Ostoja odmawia wykonania rozkazu.

Jeszcze poczekał na skutek. Wreszcie ruszył do drzwi. Słyszał szybkie szepty Kiemlicza: „daj spokój, życie ci obrzydło?" Minutę, dwie, trzy, udawał przed samym sobą, że szuka klamki, wreszcie doczekał się:

— Idź do ciężkiej cholery, właśnie, że obrzydło! Nie pójdę...

— No to zwiewaj, bałwanie, przynajmniej zwiewaj. Masz jeszcze z pół godziny...

— Wynoś się, zaraz się wynoś. — Szamotanie się w izbie wypchnęło wreszcie adiutanta. Nie tylko, że nie chciał się dać przyłapać na podsłuchiwaniu, ale i że za dużo podsłyszał. Kiemlicz namawia do dezercji. Ładne rzeczy! Obejrzał podwórze — było puste. Nie ma świadków, którzy by mogli później meldować. Że on sam nie zameldował...

Poszedł teraz szybko. Dopiero koło sztabu uświadomił sobie, że nie wie, co ma mówić pułkownikowi. Znowu się zawahał, ale już go dostrzeżono; Gryglewicz, ordynans, zaczął nań machać rękami, wyskoczył nawet na spotkanie, przesadził kałużę przed bramą, zdyszany zaczął szeptać:

— Szybciej, pułkownik się złości. Już mnie po was posyłał.

— Jak tam?

— Niedobrze. Jasnego sprał po pysku, że w trzeciej przepili forsę z mleczarni. I kopniakiem za drzwi...

Adiutant poprawił pasa. Ta rewelacja, dziwne, dodała mu jeśli nie otuchy, to determinacji. Raz kozie śmierć. Dla Franka, czy Wojtka nie będzie karku nadstawiał. Zapukał, wszedł.

Turoń siedział za stołem, czerwonooki, z czupryną rozchełstaną, ale w pasie, w mundurze o zapiętych, błyszczących guzikach. Ciężki „Vis" leżał przed nim na domowej serwecie, haftowanej w żółte i liliowe iryski. Obok „pepeszka" tępą lufą oparta o ścianę. Drzwi do sąsiedniej komory ledwo przymknięte, słońce wypadało z nich wąskim szlaczkiem. Zameldował swój powrót. Turoń popatrzył mu w oczy, ziewnął, brunatnym palcem pogmerał za kołnierzem.

— Porucznik Odwet, twoja mać — powiedział wreszcie niemal ospale. — Porucznik — dodał z przyciskiem, kiwając głową. — Kiedy ja z was, ch... złamane, wojsko zrobię?

Popatrzył na adiutanta, któremu zaczęły drgać kolana jak dziecku, przypartemu „małą potrzebą".

— No, co stoisz jak ch.. na weselu? Mówże coś, wyłgaj się, póki czas.

— Panie pułkowniku, melduję posłusznie... to nie ja...

— To nie ja, to nie ja! A kto, cholera? Święty Wincenty? Ile razy mówiłem byku, żeby meldować się! Żeby salutować!

— Ja zawsze...

— Widziałem, ch... przez okno! Do ciebie szeregowiec podchodzi jak do panienki, ledwo po tyłku nie klepie, a ty nic. Żeby choć na baczność jego postawił, gdzie tam! Czekaj, łupnę wam karne ćwiczenia. Wtedy zaśpiewacie inaczej. — Ziewnął znowu. — Co tam z Ostoją?

— Rozkaz powtórzyłem.

— Pewnie przekręciłeś jak zawsze. Ano, jeszcze raz powtórz!

— Z grupą zwiadowczą dziś dwudziesta trzecia zero zero przeprowadzić akcję w majątku Wojsławice. Zarekwirować bydło, zboże, nierogaciznę. Rewizja domu wypoczynkowego. Oczyścić z Żydów i komunistów. Powrót trzecia trzydzieści na leśniczówkę. Bydło do centrum zaopatrzenia. Pierwsza kompania ubezpiecza od szosy lubelskiej. Meldować o wykona...

— No! — Turoń przerwał w pół słowa, już spokojniej.

Adiutant spuścił oczy.

— No, — przynaglił Turoń, ściągając rudoczarne, gęste brwi.

— Porucznik Ostoja...

— No! — to był już ryk.

— On nie zgadza...

Turoń zerwał się, chwycił Vis, pochylając głowę skoczył do adiutanta.

— Tak jest, panie pułkowniku! — Adiutant zrobił pół kroku w tył, odchylając głowę odruchowo, ale gadał teraz szybciej i wyraźniej: — mówi, że na rabunki chodzić nie zamierza.

Turoń jeszcze sięgnął lewą, wolną ręką do kołnierza tamtemu, trochę go potrząsł, wykrzywionymi oczyma zajrzał w głąb, jakby sondując reakcję adiutanta na zbrodnię Ostoji. — Kto był przy tym? — warknął?

— Chorąży Kiemlicz. Ten go też namawiał.

— Kto jeszcze?

— Więcej nikogo.

— Z chamów?

— Nikt. Wyrzuciłem ich przed tym.

— No, to się wynoś! Już! A spróbuj mi pyskować!

Adiutant tyłem oparł się o drzwi, otworzył.

— Wróć! Jak ja ciebie uczyłem? Oficer, psia twoja morda! Odmeldować się!

— Panie pułkowniku, porucznik Odwet melduje posłusznie swoje odejście!



Jerzy Putrament w otoczeniu swoi ch gości, delegatów Madagaskaru i Afryki Północnej

Bardzo to było sprawnie zrobione i Turoń trochę się rozluźnił. Był teraz prawie łaskawy:

— Bo honor oficerski to wielka rzecz. Nabrałem różnych gówniarzy w twoim rodzaju, na oficerów. Jak was nie wyuczę, jak się należy, salutować, maszerować, bandziorów się z was doczekam, nie wojska. Może nie? Zmykaj!

2

Drzwi się przymknęły bez szumu. Turoń prztyczkiem przesunął zasuwkę. Wolno podszedł do stołu, znowu ponury, ale inaczej, bez furii. Skręcił grubego papierosa rozsypując czarniawy tytoń domowej roboty. Chrząknął przywołująco i w komorze pisnęła podłoga. Słoneczny szlaczek rozszerzył się na pół metra, potem zgasł.

Ten, co wszedł, był niewysoki, łysawy o zapadniętych policzkach. Wyglądałby może na ascetę, gdyby nie brudno szara broda, przystrzyżona na okrągło, dobrze utrzymana. Kulejąc podszedł do stołu, nie pytając wziął krzesło, usiadł, wyciągnął lewą nogę. Turoń też usiadł. Nie patrząc tamtemu w oczy mruknął po cichu:

— Wisz co, chwilami myślę, żeś podesłany.

Brodaty ściągnął krwiste, nieoczekiwanie pełne wargi, w ironiczny ciup. Nic nie powiedział. Patrzył tylko na Turonia przez kilka sekund, potem zagapił się w okno.

— Co nie poradzisz, to się odwraca na nas. — Nie wytrzymał Turoń. — Diabli cię wiedzą? Głupi? Czy za mądry na ten chamski naród?

Znowu milczenie. Turoń zaciągnął się kilka razy, potem z hałasem przysunął tamtemu torbę z tytoniem:

— Palże, milczysz jak...

— Wiesz, że nie palę. — Brodaty mówił spokojnie, nie szeptał, ale i nie podnosił głosu, cienkawego, z lekką chrypką. Odsunął tytoń: — Więc tym razem, co cię ugryzło?

— Jak to co, słyszałeś?

— I owszem.

— A kto mi naraił, żeby właśnie Ostoję z jego gówniarzami? Upierałem się: nie dadzą rady, jeszcze mi się pobuntują. Żeby najwyżej na zasadzki, na wojsko, na bezpiekę. A ty nie i nie. Żeby właśnie ich, właśnie na tę robotę. No i masz. Teraz się sam wykręcaj.

Brodaty znowu się uśmiechnął.

— Masz rację w jednym. Rzeczywiście, to chamski naród. Niczego ich nie nauczysz. Już jak się Niemcy starali. I nic z tego.

— Z czego? Czego nas nie nauczyli?

— Robienia ludzi i posługiwania się nimi. Ty myślisz, jak będziesz bił po mordzie, to zrobisz z tej zgrai wojsko. Po pierwsze nie wiem, czy ci się uda. Po drugie nie wiem, czy to warto. Nam nie o zwykłe wojsko się rozchodzi.

— Tylko bez filozofii. Mam to w d... Mów po prostu: co z Ostoją?

— Właśnie, że z filozofią. Trzeba z ciebie, ciemnego chama, zrobić coś. Żebyś był naprawdę przywódca, a nie herszt Cóż, kiedy nie rozumiesz. Ile razy ci powtarzałem na próżno. Uczysz się na pamięć każdej mojej rady, ale żeby z tego sens wyłapać, nigdy.

— Bo gdzie jest ten sens? Gdzie ten sens z Ostoją? Niepewny, przyszedł ze swoją paczką, ma w głowie przewrócone od okupacji: dwóch Niemców sam zastrzelił, brata mu zaciukali na Majdanku. Myśli, że jest wielki dowódca. A ty go...

Brodaty uśmiechnął się lekceważąco:

— Głupiś, bracie. Widzę, że byka strzelił, kto cię samego na wielkiego wodza chciał wykierować. Czekaj, — ręką machnął, gdy tamten syknął z furią, prawdziwą, czy trochę nadrabianą. — Na mnie miny twoje nie działają. Czasu nie ma, żeby ci jeszcze raz wszystko na nowo tłumaczyć, a zresztą, czy warto? Wyucz się jeszcze raz: Ostoję, albo albo. Albo złamać, żeby ci u nóg ogonem merdał, albo... do braciszka go, ekspresem poleconym. A teraz Panu Bogu podziękuj, że ci mądrego doradcę zesłał. Teraz pierwsze „albo" diabli wzięli. A pierwsze było trudniejsze i wątpliwe. Co do skutków, rozumiesz? Teraz tylko drugie.

Znowu buzię w ciup, popatrzył na ulicę. Trzmiel z przekwitających złocieni stuknął o szybę, Turoń drgnął, odwrócił się. Nie było w jego twarzy zrozumienia: tak dalece, że brodaty musiał się przecież zniżyć do dalszych pouczeń:

— Jakbyś tylko swoim rozumem działał, — wiesz, do czego by doszło? Byliby u was dwaj przywódcy: ty, cham i dureń, bańdziuga z krwią na łapach, zamieszany w nieczyste sprawki za Niemców. I on, panie, jak lelija, sam osobiście karku nadstawiał za okupacji, a teraz, proszę bardzo, Rinaldo Rinaldini, drogocennej krwi polskiej oszczędza, patriota. Rozumiesz? I jakby was stuknięto wreszcie w zadek, — wszystko by się na dwoje podzieliło: co porządniejsze za nim i rączki do góry, jakąś amnestię, czy coś takiego. I z tobą kupka takich jak ty, komu już nie sposób.

— Masz rację, pies ci mordę lizał. — Turoń westchnął, jeszcze raz pobity. — Ja też zawsze mówię, albo zrobię z tej bandy wojsko, albo...

— Idź, już idź — brodaty zniechęcił się nagle. — Idź, rób porządek z Ostoją. W głowie ci się przewróciło z tym wojskiem. Wprost przeciwnie, z wojska, z tej paczki Ostoji bandę trzeba zrobić. Krwi im na ręce, jak najwięcej. I to świeżej, polskiej, żeby niemiecką, jeśli ją któryś ma, zmyła bez śladu. Żeby się im amnestii odechciało. Nie pora teraz na wojsko. Oni jeszcze po dawnemu, Niemcy, Hitler, tramtadrata. Teraz jakoś im nieswojo, niby rodacy. A ja ci mówię — za Niemców trzeba było siedzieć cicho. Ich i bez nas sprzątnięto. A za to teraz!

— To, to ja rozumiem. Ja ich nauczę! Ja im zaraz sąd polowy, kula w łeb!

— Żaden sąd! Żeby ci jeszcze zaczął deklamować? Weź go na spacer, do lasu! I sam! A potem rozkaz do pułku: za odmowę wykonania rozkazu i zdradę.

— Kemlicz?

— Tego zrób na miejsce Ostoi. I to samo, na mokrą. Niech ci spróbuje odmówić! No, idź już!



Jerzy Putrament przemawia podczas sesji ONZ

3

Przed zmierzchem wyruszono ze wsi. Przyszli zwiadowcy: na Domostowę droga wolna. Tam, w lasach, planowano kilkudniowy postój, dla zmylenia śladów. Bliżej Lublina stawało się gorąco.

Droga skręcała na prawo. Dzika gruszka na kopczyku, krzyż przydrożny, niezaorane ścierniska. Turoń stanął pod krzyżem, w mundurze, z bacikiem w ręku. Odwet przepisowo o pół kroku wstecz i z lewa. Za gruszką Gryglewicz z końmi dla dowódcy. Odwet sam wybrał to miejsce dla przyjęcia defilady, wiedział, że dowódca lubuje się w Sienkiewiczu, pod krzyżem może poczuje się niemal Jaremą.

Na początku szli zwiadowcy. Ostoję zawieszono, prowadził ich Kiemlicz. Młodzi chłopcy, w mundurach wojskowych, z „lubelskiego", szorstkiego sukna. „Pepeszki" przewieszono przez szyję, prawa ręka przepisowo na cynglu, lewa wybija takt. Pomyślałbyś, że berlingowcy, gdyby nie czapy, olbrzymie rogatywy, blachą podkute daszki, orły z koronami wydętymi jak banie. Było ich może z piętnastu. Kiemlicz skomenderował „baczność, w prawo patrz"!, sam się odwrócił, podbródek do góry, łokieć salutującej ręki bodaj na wysokości nosa.

Turoń pilnie zaglądał im w oczy, szukając śladów historii z Ostoją. Nic nie znalazł, „w prawo patrz" dobrze zrobione, znakomicie ratuje przed jakimkolwiek odruchem myśli. Niechętnie się odwrócił.

Pierwsza kompania, może ze trzydziestu, dwa erkaemy, trochę stenów. Broń była różnorodna, mundury przeważnie stare, przedwojenne gabardyny, sfatygowane, przeważnie na łokciach. Najpewniejszy oddział: dawna policja, trochę zawodowych podoficerów. Szli ciężko, dowódca, poruczniczyna z piechoty komenderował ochryple, twarz miał czerwoną: jeszcze nie przespał obiedniego bimbru.

(Dokończenie na stronie siódmej)

PAUL ELUARD

„GUERNICA"

Wersja kompletna do filmu według obrazu Pablo Picassa

Guernica. Miasteczko biskajskie, tradycyjna stolica Kraju Basków. Tutaj rósł dąb święty, symbol tradycji i swobód baskijskich. Guernica, jeśli ma znaczenie, to jedynie historyczne i uczuciowe.

26 kwietnia 1937 roku, w dzień targowy, w godzinach popołudniowych, nadlatujące falami eskadry samolotów niemieckich w służbie Franco, bombardowały Guernicę przez trzy i pół godziny bez przerwy.

Miasto zostało spalone i starte z powierzchni ziemi. Dwa tysiące zabitych, to wyłącznie ludność cywilna. Celem bombardowania było wypróbowanie na ludności cywilnej skutków nalotu operującego bombami wybuchowymi i zapalającymi jednocześnie.

Twarze wytrzymałe na żar twarze
wytrzymałe na zimno
Zżyte z odmową ciemnością
obelgą razami

Twarze zżyte ze wszystkim
Oto świat wasz opustoszał
Biedne na ofiarę złożone twarze
Wasza śmierć będzie służyła za
przykład

Śmierć z wywróconym sercem

Kazali wam zapłacić za chleb
Waszego życia

Kazali wam zapłacić za niebo
ziemię wodę sen
Waszego życia

Nawet za nędzę czarną

Mili aktorzy aktorzy tak smutni
a tak pełni słodyczy
Aktorzy niekończącego się
dramatu
Wy nie myśleliście o śmierci

Lęku i odwadze życia i umierania
Śmierci tak bardzo niełatwej i tak
bardzo łatwej



Biedni nad brzegiem morza — obraz Pablo Picassa

Mieszkańcy Guerniki są ludźmi skromnymi. Żyją w swym mieście od dawna. Życie ich to kropla bogactwa w morzu nędzy. Kochają swoje dzieci. Życie ich składa się z małych radości i z bardzo wielkiej troski: troski o jutro. Jutro trzeba jeść, jutro trzeba żyć. Dzisiaj jest tylko nadzieja. Dzisiaj jest praca.

Świat o wszystkim dowiedział się z gazet czytanych przy kawie:



Paul Eluard i Pablo Picasso

gdzieś w Europie legion morderców miażdży mrówki ludzkie. Trudno jest wyobrazić sobie dziecko z rozprutym brzuchem, kobietę z uciętą głową, mężczyznę rzygającego całą krwią swoją. Hiszpania daleko, Hiszpania gdzieś na granicach naszych. Po wypiciu kawy trzeba iść do pracy. Nie ma czasu na wyobrażanie sobie tego, co gdzie indziej się dzieje. I dławi się wyrzuty sumienia. Jutro będzie czas na doświadczanie bólu i strachu i śmierci. Lecz będzie za późno na obalanie zbrodni.

Karabinowe kule dobijają
umierających
Karabinowe kule z dziećmi igrają
Lepiej niż wiatr

Ogniem i żelazem
Człowiek wyżarty jak kopalnia
Jak przystań bez statków
Jak ognisko bez płomienia

Kobiety dzieci mają ten sam skarb
Zieleni wiosennego listowia i mleka
czystego
I trwania
W ich oczach czystych

Kobiety dzieci mają ten sam skarb
W oczach
Mężczyźni bronią go jak umieją

Kobiety dzieci mają te same róże
czerwone
W oczach
Wszyscy pokazują swoją krew

Pomyśleć, że tylu z nas lękało się burzy! Dziś wiadomo już, że burza była życiem. I pomyśleć, że tylu z nas lękało się błyskawic, lękało się grzmotów! Jakżeż naiwni byliśmy: grzmot jest aniołem, błyskawica jego skrzydłami i nie schodziliśmy nigdy do piwnic, aby nie widzieć potworności płonącej natury. Dzisiaj nastąpił koniec naszego świata, każdy z nas pokazuje swoją krew.

A ostatecznie
Dzieci są jakby ich nie było
A my będziemy sprowadzeni
Do najprostszej formy wyrażającej
nas

Pomyśleć że istniały łzy szczęścia
Że mężczyzna otwierał ramiona
kochanej kobiecie
Że pocieszone dzieci śmiały się
przez łzy

Oczy umarłych mają pojemność
przerażenia
Oczy umarłych są tak płytkie jak
nieurodzajna gleba

Ofiary wypiły łzy
Jak truciznę

W kaskach, obuci, poprawni i przystojni lotnicy rzucają swoje bomby. Ze starannością i uwagą. Pod nimi na ziemi — zniszczenie. Największy filozof oddający się dobru bada je przynajmniej dwa razy, nim wyprowadzi system. Bo wraz z teraźniejszością rozprasza się przeszłość i przyszłość, przerywa się ciągłość, zużywającą się w kraterze. To pamiętanie życia gaśnie, zdmuchnięte jak świeca.

Ludzie okrwawieni zwierzę
okrwawione
Winobranie obrzydliwe i bardziej
cuchnące

Niż oprawcy, sami jednak czyści

Wszystkie oczy wypłynęły
wszystkie serca wygasły
Ziemia zimna jest jak umarły

Spróbujcie wstrzymać zwierzę, które czuje śmierć! Spróbujcie wytłumaczyć matce śmierć dziecka! Spróbujcie wzniecić ufność wśród płomieni! Jak sprawić, by zrozumiano, że wielcy tego świata, dzieci uważają za wrogów i że kołyskę jak machinę wojenną atakują. Jedna tylko jest noc, noc wojny — starsza siostra nędzy, i ohydna, przeprzerażająca córa śmierć.

Mężczyźni którym ten skarb
wyśpiewano
Mężczyźni którym ten skarb
odebrano

pomyślcie o agonii waszej matki, waszych braci, waszych dzieci, pomyślcie o walce, która kres kładzie życiu, o agonii waszych miłości. Brońcie się przed mordercami. Dziecko, starzec czują się przepojeni wstrętem do życia w żałobie po sobie samym. Odczuwają naraz, jak absurdalne jest pragnienie życia, skoro ma się ono tak skończyć. Wszystko się zabagnia, słońce czarnieje.

Pomniki rozpaczy
Piękny świecie chat
Kopalń i pól
Bracia moi otoście przemienieni
w ścierwo
W połamane szkielety
Ziemia kręci się w waszych
oczodołach
Jesteście zgniłą pustynią
I śmierć zachwiała równowagą
czasu
Jesteście już poddani robactwu
i krukom
A byliście przecież naszą nadzieją
promienną

Pod martwe drewno dębu Guerniki, na ruiny Guerniki, pod czyste niebo Guerniki powrócił człowiek niosący beczące koźlątko w ramionach, a w sercu gołębicę. Dla wszystkich innych ludzi śpiewa czystą pieśń buntu, która proste dzięki wyraża miłości, a stanowcze nie — uciskowi. Obietnice naiwne są najbardziej wzniosłe. Mówi, że Guernica jak Oradur, jak Hiroszima, jest stolicą pokoju żywego. Ich nieistnienie sprawia, że protest jest bardziej przejmujący od przerażenia samego.

Człowiek śpiewa, człowiek ma nadzieję. I trutnie jego bólu odlatują w stwardniały lazur. A pszczoły jego pieśni złożyły mimo wszystko miód swój w sercach ludzi.

Guernica! Niewinność pokonana zbrodnię.

Guernica!

Paul Eluard

przełożyła W. A.

NOTATKI

Przeglądając notatki z roku ubiegłego znalazłem pod datą któregoś tam marca fragment następujący:

„Wieczorem razem z R-skim i Stefanem M. Stefan raczej nieskłonny do wynurzeń natury prywatnej, tym razem rozgadał się i nawet się nie starał upozorować w jakikolwiek sposób, że to co mówi nie jest jego sprawą osobistą. Odnoszę wrażenie, że M. przeżywa od dłuższego czasu poważny kryzys wewnętrzny i nie potrafi rozwikłać, a tym mniej rozerwać całego misternie namotanego splotu dręczących go wątpliwości. Zawsze się jednak w podobnym wypadku nasuwa pytanie, czy owe wątpliwości nie są w tym właśnie celu zawiązywane, aby do odległego jutra odłożyć konieczność ich rozwiązania. Wielu inteligentów czuje instynktownie, że bagaż wątpliwości, wahań i pytań bez odpowiedzi jest mimo wszystko lżejszy do dźwigania od obowiązków wynikających z pojęcia jasnych decyzji. Nawet najbardziej nieporadny życiowo inteligent umie sobie nienajgorzej poradzić z wewnętrznymi konfliktami, więcej: potrafi je zazwyczaj poukładać w taki sposób, aby wyglądały możliwie najefektowniej i jego samego ukazywały w korzystnym świetle. Czego natomiast inteligent lęka się najbardziej i co jest najbardziej typowym przejawem inteligenckości myślenia? Strach przed konsekwencjami myślenia ainteligenckiego. Wydaje mi się, że to jest także i wypadek Stefana M.

Tok jego wywodów był następujący: pisarz, i jako człowiek i jako artysta, może się ze światopoglądem marksistowskim solidaryzować w pełni w takich tylko warunkach politycznych, w których komuniści są albo partią nielegalną, albo legalnie opozycyjną w stosunku do systemu rządowego. Tak więc Aragon czy Eluard we Francji, Fast w Stanach Zjednoczonych, lub emigracyjni pisarze jak Neruda albo Jorge Amado zachowują pełną swobodę czystej moralnie wypowiedzi, ponieważ walczą o najwznioślejsze ludzkie ideały, nie będąc równocześnie obciążeni odpowiedzialnością za solidaryzowanie się z tym wszystkim złem, które musi towarzyszyć wszelkiemu rządzeniu.

Notuję tu oczywiście tylko zasadniczy wątek rozumowania M., wydaje mi się jednak, że wiernie. Ostateczny wniosek M. był taki: czyste ręce mogą mieć ci tylko ludzie, którzy nie posiadając władzy walczą o wolność. Również czystym może być taki tylko pisarz, który wypowiada treść i sens tej walki. Solidaryzując się natomiast z Partią, gdy ona rządzi, pisarz musi popaść w konflikt sumienia, protestującego przeciw wszelkiej formie przemocy w stosunku do człowieka. Jakiego człowieka? Każdego człowieka.

Byłem przekonany, że R-ski pocznie z miejsca punkt po punkcie wykazywać Stefanowi fałszywość jego wywodów. Milczał jednak dłuższą chwilę, bębnił swymi grubymi palcami po stole, aż wreszcie podniósł głowę i spytał:

— Powiedźcie mi, wyście pewnie nigdy przed wojną nie mieli całego swego majątku w tobołku?

M. poruszył się niespokojnie.

— Nie — odpowiedział z wahaniem.

— A byliście może kiedy głodni?

— Też nie.

— A policja biła was kiedy?

— Nie".

Przepisuję teraz dosłownie ten fragment zanotowany przed rokiem bynajmniej nie dlatego, abym chciał dopisywać komentarz do mdłych skrupułów i wątpliwości M. Wydaje mi się, że komentarz R-skiego był bardzo istotny i on mnie w tej chwili przede wszystkim zainteresował, ponieważ celnie uderzając w istotę wydarzenia pojedynczego, trafia równocześnie w bardzo czuły punkt zagadnienia o wiele rozleglejszego. Takiego mianowicie:

Większość naszych najaktywniejszych i najbardziej twórczych pisarzy stoi w tej chwili zdecydowanie na pozycjach marksistowskich, względnie sympatyzuje z nimi i do nich się zbliża. Ten fakt dowodzi, że pisarze trafniej oceniają historię naszych czasów oraz własną w niej rolę. Również jednak oczywistym jest fakt, że spośród współczesnych naszych pisarzy, reprezentujących ideologię marksizmu-leninizmu, bardzo nieliczni potrafili przyswoić sobie ten światopogląd w latach przedwojennych. Nie będzie też uogólnieniem, ani rozminięciem się z obiektywną sytuacją, jeśli się stwierdzi, że marksizm współczesnych polskich pisarzy jest przeważnie świeżej daty i krystalizował się w świadomości twórców pod naciskiem wielkich przemian politycznych, społecznych i gospodarczych ostatnich pięciu lat. Szczególnie na przestrzeni roku minionego dał się zauważyć duży wzrost politycznej świadomości pisarzy oraz coraz radykalniejsze zrywanie przez nich, przynajmniej w wypowiedziach teoretycznych, z obciążeniami myślenia mieszczańskiego. Proces tego pogłębiania i ugruntowywania świadomości ideowej będzie z pewnością dalej wzrastać, znajdując potwierdzenie w utworach realizujących postulaty socjalistycznego realizmu i pełniej i liczebniej niż to zdołała do tej pory uczynić nasza postępowa literatura powojenna. Myślę jednak, że ten optymizm w stosunku do wielkich możliwości rozwojowych naszej prozy, poezji i dramatu, bynajmniej nie zawieszony w pustce, lecz oparty na realnych danych, wówczas tylko zostanie w całej rozciągłości potwierdzony przez najbliższą przyszłość, jeśli ludzie pióra nie tylko zechcą stać się pisarzami socjalistycznymi, lecz również, a nawet przede wszystkim, ciągle i uparcie kontrolować będą swoje pozycje myślowe, demaskować braki, prostować skrzywienia stare i nowe, pamiętając, że w stosunku do aktywistów proletariatu są nie tylko zapóźnieni, lecz co ważniejsze: ubożsi od nich o instynkt walki klasowej, zdobyty i dojrzewający wśród wieloletnich, trudnych i ofiar wymagających doświadczeń.

Nie trzeba, jak sądzę, ukrywać, że drogi, którymi po wojnie większość naszych pisarzy zdążała lub nadal zdąża ku marksizmowi, są to drogi bezpieczne, wygodne i wolne od przeszkód zewnętrznych. Nikt z nas nie musiał płacić za swoje przekonania utratą wolności i nikt z ludzi pióra nie musiał za swój marksizm narażać życia. Przeciwnie: państwo uczyniło bardzo wiele, aby zapewnić pisarzom dobrą egzystencję. Dorastaliśmy zatem do marksizmu nie w więziennych celach i nie w walce, która wymaga największych wyrzeczeń i kształtuje charakter socjalistyczny, lecz kupując antyki i jedwabne krawaty, płacąc za kolacje rachunki nie wiele częstokroć niższe od miesięcznej pensji nauczyciela, nienajrzadziej również zbierając za swoją pracę nagrody i zaszczyty.

Nie chciałbym, aby mnie w tym sensie zrozumiano, iż poruszając tę drastyczną sprawę nie doceniam tym samym wysiłku intelektualnego. Owszem, odpowiedzialną pracę umysłu cenię bardzo wysoko, cenię wszelki trafny wysiłek myślowy zarówno kolegów po piórze, jak i swój własny. Lecz właśnie na tej drodze przekonałem się, że ci ludzie, którzy z racji uzdolnień i kwalifikacji swój stosunek do życia wyrażają przede wszystkim poprzez wypowiedzi intelektualne i artystyczne, nazbyt nieraz łatwo przeprowadzają linię graniczną pomiędzy manifestacją twórczą i stylem życia osobistego. Cóż się wówczas dzieje? Ta rozległa i źle ustawiona dziedzina egzystencji prywatnej wpływa z kolei i musi wpływać na kształtowanie się myśli, stępiając czujność i samokrytycyzm, rozwijając egoizm i fałszywie pojętą ambicję, nierzadko cynizm, a bardzo często drobnomieszczańskie ideały życiowe. O ileż łatwiej wyprostować myśli niż czyny! Sądzę jednak, że marksizm jest czymś większym od światopoglądu, jest światopoglądem realizowanym w życiu.

Piszę o tym wszystkim bynajmniej siebie samego nie usuwając przezornie poza krąg tych zagadnień. Co mnie jednak tak silnie uderzyło, gdy we własnej notatce odnalazłem pytania R-skiego? Uświadomienie sobie, że jeśli i socjalistycznego światopoglądu i socjalistycznej moralności nie zdobyło się w walce — należy braki z tego wynikające wyrównać tym ostrzejszą i bezkompromisową pracą umysłu. Utwory reprezentacyjne dla epoki kulturalnego rozkładu mogły powstawać z najróżniejszych pisarskich postaw życiowych, równie licznych, jak rozlicznymi bywają kręte i powikłane szlaki, po których do ostatecznego upadku zdąża ginąca klasa społeczna. Natomiast utwory reprezentacyjne dla epoki kształtującej kulturę socjalistyczną powstawać mogą tylko z jednej postawy pisarza wobec życia — socjalistycznej.

Uświadomić swoje własne błędy, to dość wiele, lecz skutecznie je przezwyciężyć i ostatecznie usunąć można wówczas tylko, gdy obnażony zostanie klasowy rodowód błędów, gdy dla wypadku poszczególnego odnaleziona będzie typowość i gdy subiektywny stosunek do całego zagadnienia zastąpiony zostanie pełną jego obiektywizacją.

Już przed wojną zdawałem sobie sprawę, że pewne słowa urzekają mnie. Oto niektóre z tych fetyszów: noc, mrok, ciemność, przepaść, mgła, szum, wiatr, cienie, blaski, echo, szept, samotność, niepokój, pragnienia, wierność, czystość, żarliwość, koniec, wina, kara, głuchy, ślepy... Nie z tych słów, oczywiście, lecz z wyobrażeń, które dokoła owych magicznych zaklęć nagromadziłem, począwszy od konkretnych treści kończąc na metafizycznej nadbudowie, powstał mój młodzieńczy „Ład serca". Te same wyobrażenia wpłynęły w dość decydującym stopniu na ukształtowanie się wojennych opowiadań: „Przed sądem" i „Apelu", a pewne ich elementy znalazły swój wyraz zarówno w „Wielkim Tygodniu", jak i w późniejszym „Popiele i diamencie".

Wczesne uświadomienie sobie faktu, że obrazy nocy i mroków maniakalnie powracają w moich utworach, nie wymagało silniejszego wyostrzenia pisarskiej czujności. Jeśli jednak zrazu urzeczenie nocą całkiem przytępiło mój krytycyzm, z biegiem czasu począłem pojmować, że grozi mi monotonia powtarzania się. Muszę tu wszakże stwierdzić, że ta słuszna ocena artystyczna okazała się przy próbach rozwiązania kompleksu nocy całkiem nieprzydatna, sądziłem bowiem, że dzięki zmianie scenerii automatycznie osiągnę nowy wyraz artystyczny. Ileż klęsk musiałem ponieść zawierzając temu złudzeniu! Gorycz tych godzin z pewnością pojmie każdy, kto w swojej pracy, jakakolwiek by ona nie była, doszedł nagle do przekonania, że coś jest w jego robocie nie w porządku, jednak nie potrafi odkryć ani istoty, ani przyczyny błędu. Czułem, że grozi mi maniera, lecz każda próba, jaka wychodziła spod mego pióra, była tą manierą zmącona. Pragnąłem ludzi i ich sprawy ukazywać w ostrym blasku dziennego światła, lecz każda sytuacja poczęta w mojej wyobraźni, każdy gest ledwie zarysowanej postaci i każdy strzęp dialogu, cały ów mglisty w konturach, lecz jakże porywający świat, który niesie w sobie zarodki jeszcze nieuporządkowanych pomysłów, wlókł za sobą na kształt cienia mroczną scenerię nocy, krajobraz posępny i wrogi wszelkim poczynaniom samotnego, zagubionego człowieka.

Niszczyłem wówczas zapisane kartki i uciekałem od swoich klęsk podobnie, jak ucieka się tchórzliwie od krzywd wyrządzonych drugiemu człowiekowi, lub od złych wspomnień. Długie miesiące spędzałem bezczynnie, trawiony tysiącem rzeczywistych i urojonych rozterek, w ostatecznym zwątpieniu w swój umysł i w swój talent szukając usprawiedliwienia dla traconych dni i tygodni. Wreszcie, gdy zwątpienie powszedniało, poddawałem się przebłyskom nadziei, wracałem do zaniedbanego biurka, lecz po to tylko, aby się przekonać, że strach przed podjęciem nowych prób paraliżuje mi wyobraźnię, a moje pióro jest suchą trzciną.

Ileż ciężkich chwil bym sobie oszczędził i jak wielu jałowych rozterek uniknął, gdybym wcześniej zrozumiał, że pisarz nie wyprostuje artystycznych skrzywień swojej twórczości, jeśli nie pojmie i nie przełamie do końca tych błędnych myślowych założeń, które jego artyzm kształtują. Jakże się mogłem łudzić, że zmienię scenerię swych utworów, nie rewidując i od podstaw nie zmieniając swego stosunku do rzeczywistości? Czyż mitologizując własną samotność i własne w świecie zagubienie, pielęgnując w sobie mgliste rozterki moralne, niepokój i sprzeczne pragnienia, mogłem znajdować upodobanie w innych rekwizytach niż w tych, którymi się posługiwałem?

Dzisiaj nie bez żalu myślę, że przez najlepsze lata młodości byłem biernym podmiotem historii, dramatyzując świat tylko na miarę prywatnych wzlotów i upadków, przeoczywszy natomiast, że obok mnie już wówczas, u progu drugiej wojny, nie dalej niż na wyciągnięcie dłoni rozgrywał się prawdziwy wielki dramat i ludzie świadomi sensu tych zmagań z faszyzmem brali w nich czynny udział. Myślałem wówczas, że jestem moralistą, jak gdyby samo zainteresowanie zagadnieniami moralnymi, lub wygłaszanie zdań o akcentach moralnych uprawniało do tak wysokiej godności. Cóż za omyłka! Nie umiałem zrozumieć, że moralista musi być człowiekiem walki. Więcej: moralistą może być tylko człowiek czynnie zaangażowany po stronie postępowych wartości historii. Nie pojmowałem zatem, że wszystko inne jest tylko moralnym bełkotem: krzykiem zagubionych jednostek, pomrukiem zamaskowanych wrogów lub wrzaskiem wrogów jawnych.

Długi jednak czas upłynął i przez wiele jeszcze nienajłatwiejszych doświadczeń musiałem przejść zanim zrozumiałem, że traktując swój dotychczasowy stosunek do rzeczywistości jako wypadek indywidualny nie tylko utrudniam, lecz całkiem sobie uniemożliwiam uzyskanie pełnej obiektywizacji zarówno błędów przeszłości, jak i tych dróg, po których powinienem zdążać, aby ujrzeć świat we właściwych proporcjach i wypowiadać tym samym w swoich utworach te idee, które są wyrazem potrzeb i pragnień postępowej ludzkości. Ten mały krytycyzm, wyrażający się w subiektywnej ocenie izolowanej społecznie jednostki, musiał mnie skazywać na poszukiwania kierowane instynktem raczej niż uporządkowanym zespołem rozumowych racji i także na wydawanie takich sądów wartościujących, za których nową fasadą stały nieuprzątnięte ruiny odrzuconych omyłek, cały śmietnik inteligencko-mieszczańskiej rekwizytorni. Wymiótłszy wiele złudzeń, nie mógł mały krytycyzm zdemaskować i wynieść jednego: złudzenia, że na własną rękę, bez solidarnego związania się z pracującymi masami, można dogonić historię.

Marksizm w rękach indywidualizującego inteligenta jest podobny do konia ze złym jeźdźcem na grzbiecie. Ta zabawa przypomina niefortunną przygodę pana Snodgrassa z „Klubu Pickwika": wprawdzie jeździec chce jechać naprzód, lecz kieruje koniem w taki sposób, że ten kręci się najpierw w kółko, a potem posuwa do tyłu. Wydaje mi się, że pracując nad „Popiołem i diamentem" znajdowałem się w takiej właśnie sytuacji. Pisałem tę powieść, jak mańkut jeszcze nienawykły do posługiwania się prawą ręką: w zasadzie pisałem ręką prawą, lecz stare nawyki raz po raz zmuszały mnie do przerzucenia pióra. Stąd w tej powieści obok trafnych ocen poszczególnych zjawisk czy wydarzeń — błędny w całości obraz ówczesnej rzeczywistości, stąd również przy sugestywności naturalistycznych opisów — niezdolność do ukazania przemian historycznych w ich zasadniczych, z walki klasowej wynikających elementach. Prawą ręką niedość pewną i precyzyjną opisywałem „diament"; lewą, wyćwiczoną w uprawianiu mrocznych guseł nocy, zamętu i niepokoju — „popiół". Najistotniejszą jednak skazę „Popiołu i diamentu" widzę we wspomnianej już rozbieżności pomiędzy ocenami częściowymi a oceną całościową. Wynika stąd oczywisty dla mnie fakt, że dzieło literackie w poszczególnych swych partiach może dawać trafną ocenę ideową, w całości natomiast wskutek fałszywego zestawienia elementów, lub pominięcia innych bardzo istotnych elementów, może przynosić wypaczony obraz obiektywnej rzeczywistości.

Ludzie, którzy zrozumieją, że piszę tu o sobie i swojej twórczości z przyczyn głębszych niż zainteresowanie własną osobą, nie pomówią mnie z pewnością o przesadę, jeśli wyznam, że po wydaniu „Popiołu i diamentu", gdy wzrastał rozgłos tej powieści, gdy nakłady jej szły w górę, a autora spotykały te czy inne wyróżnienia — sam autor znalazł się w sytuacji, którą można by przyrównać do ostatecznego wyniku konnych doświadczeń pana Snodgrassa. Jedna tylko poprawka: koń, z którego zleciał autor, był z pewnością wyższy od rumaka przyjaciela pana Pickwicka. A dalej? Pióro, które napisało „Popiół i diament" znów się stało suchą trzciną, natomiast niefortunny jeździec zastanawiał się, w jaki sposób powinien na nowo dosiąść konia, aby nie kręcić się w kółko i nie cofać do tyłu. Koń wydawał mu się przerażająco trudny do ujeżdżenia, ponieważ nie umiał go sobie wyobrazić. Ostatecznie, gdy po wielu miesiącach wiedza pisarza o koniu okazała się równie nikła, jak u początku tego okresu, doszedł do przekonania, że powinien troskę o konia odłożyć chwilowo na bok, natomiast baczniej przyjrzeć się samemu jeźdźcowi.

Zdrowy rozsądek nakazał wówczas, aby jeździec wyszedł wreszcie poza ciasny krąg podobnych do siebie jeźdźców, to znaczy poszukał doświadczeń w środowisku ludzi żyjących konkretniej, trudniej i odpowiedzialniej niż środowisko kolegów po piórze. Uczynił to, wszedł w nowe nieznane sobie dotąd otoczenie, poznał nowych ludzi, podjął nieznaczne lecz nowe obowiązki, starał się wkładać większy niż dotychczas wysiłek w zrozumienie zachodzących przemian i właśnie to zbliżenie do życia, chociaż z pewnością niepełne i w wielu punktach zbyt jeszcze słabe, musiało go zbliżyć do Partii, która okazała mu i pomoc i zaufanie aż wreszcie stała się jego własną Partią.

Myślę, że służyć z pożytkiem teraźniejszości i przyszłości może taki tylko człowiek, który zrozumiał swoją przeszłość nie w oderwaniu od historii, lecz w ścisłym z nią powiązaniu. Gdy przestałem patrzeć na swoje przemiany, jak na niezwykłe duchowe przygody jednostki — dostrzegłem w nich działanie tych samych praw, które rządzą rozkładem warstwy mieszczańskiej inteligencji, sprawiając, że każdy z zagrożonych musi w pewnym momencie jasno stwierdzić, po której stronie barykady klasowej chce stanąć i co chce wybrać: złudzenia i kłamstwa, którym historia przyniesie zagładę, czy prawdę, której podjęcie zobowiązuje do niełatwego wprawdzie życia, lecz przywraca człowiekowi godność, ponieważ zdejmuje z jego ramion ciężar samotności i wskazuje ten sam kierunek walki, który jest wspólnym celem ludzi postępu.

To byłoby mniej więcej wszystko, co na marginesie pierwszego zdania tej notatki chciałem powiedzieć.

O konieczności jasnego ustosunkowania się do pochwał, którymi obdarzają nas przeciwnicy.

W spadku po ideowym i artystycznym eklektyzmie sztuki mieszczańskiej przyjęliśmy wśród wielu innych również i taką fałszywie dźwięczącą monetę: łatwość w przyjmowaniu każdej przychylnej oceny za dobrą monetę. Zdaję sobie sprawę, że niejednokrotnie radowały mnie i dużą sprawiały przyjemność pozytywne sądy o mojej twórczości wypowiadane przez ludzi obcych mi myślowo, a nawet wrogich. Nie sądzę jednak, aby ten fakt dał się wyjaśnić tylko próżnością, lub fałszywie pojętymi względami ambicjonalnymi, chociaż i one nie są z pewnością bez znaczenia. Dla podobnego oportunizmu szukać należy przyczyn głębszych. Te zaś wydają mi się następujące:

Specjalnie uczuleni na sukcesy i pochwały bywają ci przede wszystkim artyści, którzy w swojej twórczości nie solidaryzują się z żadną konkretną walką polityczną. Wypowiadając swoje osobiste przeżycia w oderwaniu od obiektywnego kształtu świata, tworząc wizję tego świata z elementów osobistych konfliktów, niezaspokojonych pragnień i niedosytów, lub wreszcie samo pojęcie sztuki wypełniając treścią irracjonalną, oderwaną od życia — artysta przypomina owego conradowskiego lorda Jima, który w ludziach poszukuje potwierdzenia swych mglistych rojeń o samym sobie. W jakich ludziach? To już nie jest ważne. Każdy człowiek będzie dla Jima dobry, jeśli uwierzy w jego męstwo i zdolność do bohaterstwa. Tak samo dla artysty niezaangażowanego, dla artysty samotnego nie jest decydujące, ani nawet ważne, jaki człowiek i z jakich pozycji ideowych chwali ten czy inny jego utwór.

Artysta bezsilny wobec świata okazuje zazwyczaj zdumiewającą energię w odnajdywaniu racji usprawiedliwiających jego słabość. Gdy miota nim niepokój — niepokojem obciąża swych bohaterów, gdy zaś nie potrafi w sobie dostrzec niczego prócz zwątpienia i rozpaczy — i w zwątpieniu i w rozpaczy skłonny jest dopatrzeć się niezmiennych elementów istnienia. Nawet mitomani samotności, nie mogąc znieść myśli, że to tylko oni są samotni, podnoszą swoją sytuację do rozmiarów kosmicznej zasady. Cóż za wspaniała sublimacja! Im artysta jest bezsilniejszy, im gruntowniej zagubiony — tym wymowniejszych poszukuje wspólników. Najczęściej tym wspólnikiem bywa cały wszechświat. Świat tragiczny, świat groteskowy, świat bezsensowny, świat koszmarny — oto urojeni wspólnicy artystycznych bankrutów. Sprawa jest jasna. Oczywiste również wydają się przyczyny, które sprawiły, że w okresie rozkładu kultury mieszczańskiej niezaangażowany w walkę artysta nie chciał i nie musiał poddawać uważniejszej analizie sądów akceptujących jego twórczość.

Dzisiaj, w okresie kształtowania się pierwszych podstaw sztuki socjalistycznej, zagadnienie to nabiera nowego wyrazu. Może się wprawdzie wydawać, że nie jest sprawą istotnie ważną, jeśli postępowi artyści — pisarz, malarz, kompozytor — odczują zadowolenie, gdy ich utwory zyskają całkowite lub częściowe uznanie ludzi reprezentujących światopogląd reakcyjny. Myślę jednak, że mniemanie podobne byłoby i krótkowzroczne i szkodliwe.

Wróg klasowy bardzo chętnie odwołuje się do pojęcia obiektywizmu. Cóż jednak jest dla niego sprawdzianem obiektywizmu? Zawsze takie tylko widzenie rzeczywistości, które bądź w całości, bądź w pewnych fragmentach może potwierdzić jego osobisty, reakcyjny stosunek do życia. I w tym wypadku znów doświadczenie osobiste stało się dla mnie sygnałem ostrzegawczym, wówczas mianowicie, gdy zorientowałem się, co istotnie oznacza, jeśli wielu czytelników „Popiołu i diamentu" ideowo mi obcych wyraża się o mojej powieści życzliwie, pochlebnie a nawet w superlatywach. Z wieloma podobnymi jednostkami miałem przypadkowe i nieprzypadkowe rozmowy, niektóre z nich wstrząsnęły mną. Ci ludzie swymi pochwałami ostrzej i jednocześnie boleśniej niż wszyscy najsurowsi krytycy odsłonili mi ideowe skazy mojej powieści. Młodzi chłopcy o umysłowości przedwojennych oenerowców mówili mi z uznaniem, że jestem obiektywny i uczciwy. Tchórzliwi inteligenci, karmiący się kłamstwami i oszczerstwami „Głosu Ameryki" i Madrytu, winszowali mi obiektywizmu i uczciwości. Ludzie, siedzący okrakiem na barykadzie, mówili mi również o obiektywizmie i uczciwości. Jakież charakterystyczne zestawienie pojęć! Cóż łączy w istocie uczciwość pisarską z obiektywną oceną? Byłoby zbytnim uproszczeniem przypuszczać, że fałszywej ocenie zjawisk musi towarzyszyć subiektywne kłamstwo tego, który wypowiada błędne sądy. Uczciwi zbrodniarze nie są rzadkością. Jest jednak oczywiste, że ani w zakresie czynu, ani w zakresie myśli subiektywna uczciwość zbrodniarzy nie może być wartościowana miarą oderwanego pojęcia moralnego. Człowiek nie jest uczciwy abstrakcyjnie. Człowiek jest zawsze uczciwy lub nieuczciwy w stosunku do pojęć, którymi posługuje się przy ocenianiu zjawisk życia. I tylko obiektywna wartość tych pojęć decyduje o wartości ludzkiej uczciwości. Nie, nie powinienem się czuć uczciwym, gdy mi wróg powiada, że jestem uczciwy.

Myślę, że nie należy lekceważyć sądów ludzi stojących po drugiej stronie barykady. Im dotkliwsze wróg ponosi klęski i na im trudniejsze do utrzymania zostaje spychany pozycje, tym chciwiej chwyta się każdej okazji, aby w szeregach ludzi postępowych znaleźć dla siebie jakikolwiek punkt oparcia, najskromniejszy bodaj, lecz podtrzymujący nadzieję, że z czasem może się stać rodzajem przyczółka mostowego do dalszej akcji. Dziedzina sztuki, chociaż mniej eksponowana od dziedziny politycznej i gospodarczej, z pewnością nie jest wolna od tej wrogiej penetracji.

Pisarz myślący po marksistowsku, który by za dobrą monetę przyjął stwierdzenie wroga: pański utwór podoba mi się, ponieważ jest obiektywny i uczciwy; albo: pański utwór podoba mi się, ponieważ rozumie pan człowieka, albo: pański utwór podoba mi się, ponieważ potrafi pan patrzeć bezstronnie — taki pisarz rozbraja się ideowo i zatraca czujność. Jeśli zaś nie uświadomi sobie, że dlatego tylko podoba się przeciwnikom, ponieważ znajduje z nimi pewne punkty styczne, jeśli w porę nie zdemaskuje własnych błędów — powoli zacznie oswajać się z przeświadczeniem, iż powinien tak właśnie pisać, aby być przyjętym i zaakceptowanym przez możliwie najszerszej w sensie ideowym pojęty krąg czytelników. Jeśli zaś owo przeświadczenie podeprze przekonaniem, iż spełnia w ten sposób ważną rolę propagandową, ponieważ przyciąga i zjednywa niechętnych i opornych — tym gorzej dla pisarza. Przekonywać, przyciągać, zjednywać — tak!, lecz nigdy kosztem kompromisów i połowiczności. Przekonywać przeciwnika należy nie z jego pozycji, lecz z własnych, każdy bowiem krok w kierunku przyswojenia sobie racji przeciwnika oznacza kapitulację i klęskę. I myślę, że jeśli nasze książki mają się rzeczywiście stać ważnym współczynnikiem walki — wśród naszych czytelników podobnie, jak i na innych odcinkach życia, zaznaczać się powinien wyraźny podział klasowy.

Niejednokrotnie przy różnych okazjach podkreślałem z dużym naciskiem, że proces dojrzewania świadomości politycznej i społecznej, podjęty z pełną odpowiedzialnością, jest procesem długofalowym. Tak myślę i nadal, lecz równocześnie w podobnym sformułowaniu dostrzegam jedno niebezpieczeństwo: słuszną w zasadzie tezą o długofalowości przeobrażeń ideowych można się przy wielu okazjach osłaniać jak tarczą ochronną. Powiadam wówczas: nie żądajcie ode mnie zbyt wiele, nie żądajcie ode mnie wysiłku zbyt pośpiesznego, każdemu artyście i intelektualiście, a zatem i mnie, pozostawcie taki czas, jakiego potrzebuje, aby wszystko mógł dokładnie przemyśleć. Nie przyśpieszajcie niecierpliwie myślowych procesów, uważajcie również, aby razem z kąpielą nie wylać dziecka.

Mówiąc w taki sposób zyskuję naraz dwie korzyści: zaznaczam, jak bardzo doceniam samą konieczność przemian, a równocześnie uwalniam się od wysiłku maksymalnego, pozostawiając otwartą furtkę dla wszelakich odcieni lenistwa, oportunizmu, tchórzostwa i wygodnictwa.

Te wyjściowe pozycje ideowe, od których jeszcze przed wojną zaczęła się moja przemiana myślowa, określam jako laicki katolicyzm. Zdaję sobie sprawę, że droga, po której doszedłem ostatecznie do marksizmu-leninizmu, nie była ani krótka, ani łatwa. Lecz wiem również dzisiaj z całą pewnością, że gdybym tak często i siebie i innych nie sugerował twierdzeniem o długofalowości wszelkich ideowych przemian, wcześniej doszedłbym do tego, do czego doszedłem, ponieważ niejednokrotnie na tej drodze zatrzymywałem się lub nawet cofałem dlatego właśnie, że z góry sobie założyłem, że musi to być droga długa.

Pamiętam, w roku ubiegłym, w toku bardziej ożywionej i niezwykle interesującej dyskusji literackiej, wysunąłem pewną tezę, konsekwentnie zresztą z poprzedniej wynikającą. Twierdziłem mianowicie, że w naszej obecnej rzeczywistości, biorąc pod uwagę niezwykle silny napór faktów oraz te niedostatki ideowe i skazy wyobraźni, którymi wielu naszych i to najwartościowszych pisarzy jest obciążonych w spadku po dwudziestoleciu, pisarz współczesny musi mieć prawo do popełniania błędów i to jego prawo powinno być uznane i uszanowane. Jasne, że broniąc w tym wypadku podobną argumentacją pisarza określonego, broniłem w istocie siebie samego, walczyłem o usankcjonowanie własnych błędów zarówno tych, które popełniłem, jak i tych, które w przyszłości mogą mi się przydarzyć.

Wspominam o tym fakcie, ponieważ dopiero po owej dyskusji zdałem sobie sprawę, ku jakim ślepym zaułkom może zaprowadzić tok podobnego rozumowania. Ależ tak, każdy człowiek może w zakresie swego zawodu popełnić omyłkę. Każdy człowiek może zbłądzić ideowo. Nikt jednak nie ma prawa żądać p r a w a do popełniania błędów ideowych i zawodowych. Domagać się prawa do błędów — znaczy zgadzać się z nimi.

Toteż dzisiaj powiedziałbym politykom raczej tak: nie bądźcie dla inteligenckich artystów i intelektualistów zbyt pobłażliwi. Oni sami skłonni są okazywać sobie tyle pobłażliwości, iż wy nie wspierajcie ich w tych doświadczeniach. Natomiast demaskujcie ich, jeśli sami się nie potrafią demaskować. Popędzajcie ich, jeśli nie chcą lub nie potrafią kroku przyśpieszyć. Nie stawiajcie przed intelektualistami i artystami wymagań średnich. Stawiajcie im wymagania największe.

Jerzy Andrzejewski

TRYFON

(Opowieść z lat dawnych)

Opowieść ta datuje się sprzed bardzo dawnych lat. Sprzed tak dawnych, że dorośli wydawali mi się wówczas bardzo wysocy, wszystko mogący i naprawdę bardzo mądrzy. Miałem bowiem wówczas zaledwie lat siedem czy osiem i byłem uczniem klasy podwstępnej gimnazjum, utrzymywanego przez Polską Macierz Szkolną w dalekiej Odessie. Pełna nazwa tej szkoły brzmiała: Koedukacyjne Gimnazjum Polskie im. Aleksandra Jabłonowskiego.

Odessę z tamtych czasów pamiętam dosyć mgliście. Wiem, że była w niej prześliczna koronkowa maurytańska giełda, rzeźbiona w szarym kamieniu, że w śródmieściu były szerokie ulice wykładane drewnianą kostką, a na peryferiach wąskie i ciemne, i stały w nich tatarskie wózki. Tutaj można było od starego Tatara kupić trzaskający za naciśnięciem z obu stron dojrzały arbuz, kosz winogron za kilka kopiejek, gorące pierogi z baraniną lub „midi" z ryżem a także wielkie ślimakowe muszle, pachnące morzem i łojem. Pamiętam, że były tutaj dwie ulice, z których jedna nazywała się Wielki a druga — Mały Fontann, że była dzielnica Dalekie i Bliskie Młyny, port wojenny i handlowy, obszerny dworzec, kolej linowa, koło „Kurhusy" i takie strasznie szerokie morze, nad brzegiem którego wyrastały czarne i ostre skały i małe rybackie chatki, a na nim wspaniałe okręty, niosące z sobą zapach dalekiego świata.

Port wojenny był dla mnie niedostępny, za to jednak długie godziny spędzałem wraz z moimi rówieśnikami w porcie handlowym, w którym panował wiecznie nieopisany zgiełk i było tyle cudownych rzeczy do oglądania.

Były jeszcze limany i szeroki, szary step, rozciągający się na wzniesieniu biegnącym wzdłuż morza za miastem.

Limany znajdowały się również daleko od Odessy i trzeba było do nich jechać koleją. Jeden był blisko morza w pobliżu stacji towarowej Sortirowocznaja i zwał się Kujalnikiem. Drugi — zupełnie w innej stronie — zagubiony na szerokiej przestrzeni ogromnego stepu, nosił nazwę Hadżi - Beja.

Nie mieszkałem wówczas w samym mieście, ale właśnie w pobliżu Limanu Kujalnickiego. Dojeżdżało się do stacji Mały Kujalnik i wysiadało przed maleńkim, bardzo białym domkiem, w oknie którego siedział zawiadowca stacji koło dymiącego na stole samowara, nieodmiennie o każdej porze dnia i popijał herbatę z trzymanego na trzech palcach, małego spodeczka, zagryzając gorący płyn kawałkiem cukru.

Już na tej stacji witał każdego ostry zapach limanu, który błyszczał jeszcze daleko taflą wody, rozpostartą u podnóża biegnącego szerokim półkolem wzniesienia, na którym leżał step.

Nad limanem stały wille otoczone drzewami, wśród których przeważały tuje i oliwki. Zieloność sięgała tylko szerokiego pasma czarnego i cuchnącego błota, otaczającego pierścieniem czerwony zbiornik wody. Tak, czerwony, bo woda w Limanie Kujalnickim była czerwona jak krew. Kiedy zaczerpnęło się jej trochę w rękę nie traciła tego koloru. Widać w niej było tylko uwijające się setki i tysiące drobniutkich, czerwonych robaczków.

Woda z Limanu Kujalnickiego pachniała jodem, zgniłymi wodorostami i błotem. Po wyschnięciu jej pozostawał na ręku gruby osad soli. Tutaj też, nad Kujalnicki Liman, zjeżdżały z całego świata kaleki i połamańce, smarowały się cuchnącym błotem i moczyły w wodzie, która dawała im siłę i zdrowie.

Opowieść moja będzie dotyczyła niezapomnianej dla mnie postaci pewnego żołnierza imieniem Tryfon, z którym zetknął mnie los w czasach, w których nad Rosją rozpalił się wielki płomień rewolucji.

Nie rozumiałem wówczas wielu rzeczy, miałem przecież lat siedem, i wiele szczegółów dopiero teraz nabiera w mych oczach swoistego znaczenia i przybiera właściwą postać.

Nasz dom był zupełnie inny, niż by dzisiaj ktokolwiek mógł sobie wyobrazić. Nie był to nawet dom w całym tego słowa znaczeniu, a nawet nie była to chata, lecz coś ulepionego z pobielanej gliny, trzymającej się nie wiedzieć jakim cudem. W tym czymś były wprawdzie drzwi i dwa maleńkie okna, ale w górze, zamiast dachu, rozpierał się dziki ogród, na środku którego królowała srebrnolistna oliwka. Korzenie drzew rysowały się grubymi żyłami połączonymi delikatną koronką na wewnętrznych ścianach naszego mieszkania. Tuż koło zainstalowanej pod oknem płyty kamiennej przebijały coś w rodzaju półkolistego sufitu i ginęły w ścianie.

W naszym domu były dwie izby. W jednej mieszkaliśmy my — druga zajmowała babuszka.

Babuszka była to stara Tatarka o skośnych oczach, wystających policzkach i pomarszczonej jak zwiędłe jabłko twarzy. Ona była właścicielką „ziemlanki". Ona odnajmowała nam jedną izbę, jej przywilejem było codzienne doglądanie rosnących na dachu, obok oliwki, kilku krzaczastych pomidorów.

Dla nas, dzieci — wejście na dach było „tabu". Łamaliśmy je jednak stale korzystając z chwili, gdy staruszka znikała za krzakami na swoim poletku. Nic przecież nie nęci człowieka bardziej jak przełamywanie zakazów i nic nam w życiu nie smakowało tak bardzo, jak właśnie rosnące na dachu pomidory babuszki.

W tym okresie nie chodziłem do szkoły, bo w mieście raz po raz wybuchały uliczne walki i niesposób było tam puścić „pętaka" samego. Chodziliśmy za to rano nad morze pomagać rybakom ciągnąć sieci. Było to zresztą wówczas jedyne nasze źródło utrzymania. Małe dzieci pozostawały w domu pod opieką babuszki, a my ruszaliśmy „w świat". Każdą wycieczkę nad morze nazywałem wycieczką „w świat", bo otwierał się on tam przede mną daleki i tajemniczy, pełen cudownych zagadek.

Czy widział kto z was kiedy Czarne Morze o wczesnym świtaniu, kiedy to rybacy zaczynają ciągnąć sieci?

Wszystko wydaje się tam wówczas jakieś nieprawdziwe i dziwne, nie łatwo to zamknąć w opisie. No, bo proszę sobie wyobrazić ogromną, lekko błyszczącą a zarazem lekko przyćmioną taflę, która na krańcach podmalowano subtelną czerwienią, zmieszaną z opalem. Bliżej ta czerwień podobna jest trochę do świeżego mosiądzu, dalej miesza się z ledwo widocznym fioletowym pasmem, ze specyficzną bielą oksydowanej, lecz jednocześnie połyskującej stali, by wreszcie przy samym brzegu rozbłysnąć znowu granatowo - zieloną przezroczystą szarością.

Nad tym wszystkim rozpostarte jest niebo prawie czarno - szare u szczytu, niżej zaś na wschodzie coraz jaśniej zieleniejące i wreszcie czerwienią łączące się z morzem.

Tutaj właśnie poznaliśmy Tryfona. Podszedł do nas w chwili, gdy po wyciągnięciu z wody sieci zziajani i spoceni nie czując zupełnie porannego chłodu ładowaliśmy do przyniesionego ze sobą kosza drobne, splątane z wodorostami, nie nadające się na targ rybki. Pozwolono nam ich wziąć sporo za pomoc przy taszczeniu sieci.

Tryfon zbliżył się ku nam wielki i imponujący, trzymając ręce w kieszeniach żołnierskiego płaszcza. Na głowie miał okrągłą czapkę zsuniętą na tył czaszki. W kąciku ust trzymał przylepionego do wargi, skręconego w gazecie, dawno zgasłego papierosa. Na nieogolonej, szerokonosej twarzy błąkał się ironiczny uśmiech.

Kiedy matka chciała dźwignąć kosz z ziemi i gdy usiłowałem jej w tym pomóc, odsunął mnie na bok, tak samo jak przed chwilą rybaka, chwycił sam lekko z ziemi ciężar, zarzucił na ramię i powiedziawszy:

— No poszli! — ruszył lekko przed nami, kierując się ku torom.

Matka podążyła za nim trochę zdziwiona, lecz uradowana zarazem niespodziewaną pomocą. Ja biegłem drobnym truchtem nieco w tyle, nie mogąc nadążyć normalnym krokom dorosłych.

Tryfon rzucił przez ramię:

— Wy bieżeńcy? A?

Otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź przedstawił się:

— A ja bolszewik, Tryfon Iwanowicz.

Zamarłem ze zgrozy. Bolszewik!! Przecież w szkole tyle strasznych rzeczy słyszałem o bolszewikach.

Wyglądał jakoś zupełnie zwyczajnie. Tak prawie, jak wyglądali wszyscy żołnierze, którzy przewijali się wówczas przez Odessę. Patrzyłem teraz zadzierając głowę na jego barczyste, szerokie plecy i czapkę, spod której wymykały się bujne blond włosy. Przyśpieszyłem nawet kroku, by zajrzeć mu w twarz, nie mogłem jednak nadążyć, a nawet potknąwszy się o jakiś kawał żelaza runąłem plackiem na ziemię.

Obejrzał się i roześmiał szeroko. Zobaczyłem wówczas jego lekko skośne, niebieskie, poczciwe, wcale nie straszne oczy.

Kiedy dotarliśmy do domu Tryfon wniósł kosz z rybami do izby i rzucił ciężko koło płyty kuchennej. Wokoło rozniósł się świeży zapach morskiej trawy.

W tej samej prawie chwili skrzypnęły drzwi od sąsiedniego pokoju i ukazała się w nich babuszka.

Przez chwilę stała nieruchomo, zaskoczona wyraźnie obecnością kogoś obcego w pokoju, potem cofnęła się i krzyknąwszy nagle: Tryfon — rzuciła się ku żołnierzowi.

Staliśmy oniemiali, nie wiedząc co o tym wszystkim sądzić, a ona teraz powtarzając bez ustanku: Tryfon — Tryfończyk, synok dorogoj! — szła ku żołnierzowi, który również ruszył ku niej.

Następnego dnia jednak Tryfon zniknął. Nie wiadomo jak i kiedy wyszedł z mieszkania.

*

Odessa przechodziła ciągle z rąk do rąk. Raz królowali w niej czerwoni, raz biali.

Wreszcie pewnego dnia w Kujalniku gruchnęła wieść, że do Odessy przyszli Niemcy. Wieść tę poprzedziła strzelanina artyleryjska i ogromne wybuchy w składach portowych, które rozpaliły nad miastem olbrzymią łunę.

Nad Kujalnikiem zawisła na wiele dni i nocy gęsta chmura dymu, z której sypały się drobne odłamki płonącego drzewa i spływały czarne płaty sadzy. Wszystko dokoła było pokryte brudnym nalotem. Czarny pył wciskał się do mieszkań, wypełniał izby dusznym zapachem spalenizny.



Koło naszej lepianki przelatywały całymi stadami oszalałe psy, koty i zerwane z uprzęży konie. Ciągnęły też nieprzerwanym potokiem nieprzytomne z przerażenia zdezorientowane tłumy. Ludzie koczowali na drogach, na stepie, opanowywali siłą stodoły, stajnie, obory a nawet kurniki i chlewy. Ze wszystkich stron słychać było płacz dzieci i wyrzekania.

Po przepłynięciu tej lawiny zjawili się na stacji Niemcy. Najpierw przyszedł niewielki patrol pod dowództwem eleganckiego oficera z zawieszoną na piersiach lornetką. Potem zjawił się większy oddział i zajął połowę stacyjnego budynku.

Pewnej nocy, zaraz prawie bezpośrednio po przyjściu Niemców, przyszedł Tryfon. Był sczerniały, wychudły i zmęczony. Zrzucił swój żołnierski mundur i ustroiwszy się w cywilne łachmany zaczął jak gdyby nigdy nic gospodarzyć w obejściu.

Nie bogate jednak było to Tryfonowe obejście. Właściwie przybyła tu tylko jeszcze jedna gęba do karmienia. Bo z tym gospodarowaniem Tryfona nie było wszystko w porządku. Zdarzało się np., że porzucał pracę w ogródku i znikał na całe dni. Wracał potem niespodziewanie i na wszelkie nagabywania matki odpowiadał zagadkowym uśmiechem.

A i bieda zaczęła dokuczać wszystkim coraz bardziej. Nawet babuszka, korzystająca z plonów swojego poletka, zaczęła narzekać. Chodziliśmy też prawie codziennie z Tryfonem na ryby, taszcząc ze sobą ciężkie kosze. Czasami też robiliśmy wypady na tarantule, które chętnie kupowano w aptekach.

Olbrzymie jadowite pająki, których bałem się panicznie, stały się wkrótce pokaźnym źródłem dochodu.

Któregoś dnia wyszliśmy z domu na łowy później niż zwykle. Tryfon zapowiedział swojej matce, że może nie wrócimy na noc.

Tej nocy na stepie nie zapomnę do końca życia. Była ciemna, bezksiężycowa.

Wydaje mi się jeszcze dzisiaj, że czuję w palcach jej czerń, tak była gęsta i prawie lepka. Nie było w niej nawet gwiazd.

Nie wiedziałem dokąd wędrujemy, a na wszystkie pytania Tryfon odpowiadał tylko przynagleniem:

— Chodi, chodi!!

Nie czułem pod nogami żadnej drogi i nie wiedziałem, w jaki sposób mój towarzysz orientuje się w ciemnościach. On szedł jednak pewnie przed siebie, kierując się ku nieznanemu bliżej celowi.

W pewnej chwili gdzieś daleko przed nami błysnęło światełko. Zgasło i znowu błysnęło. Z początku wydawało się zawieszone w próżni, potem jednak przylgnęło do ziemi. Rosło teraz powoli, lecz stale, rozpalało się coraz mocniej.

Szliśmy tak ku niemu może jeszcze pół godziny, a może i więcej, aż powoli ciemność wokół nas zaczęła się przerzedzać, nabierać lekko czerwonawego odcienia. Zrozumiałem wtedy, że pali się przed nami ognisko. Rozjarzało już nad stepem niewielką półkolistą łunę.

Potem na tle tej łuny zobaczyłem ogromne stado wołów. Tworzyły one gęstą, zbitą masę, z której dopiero po dłuższej chwili zaczęły wyodrębniać się masywne cielska poruszających się leniwie lub tkwiących nieruchomo na jasnym tle potężnych łbów i rozłożystych rogów. Nadbiegało stamtąd dalekie ujadanie psów. Wreszcie wybiegło ku nam całe ich stado. Przyniosły ze sobą ostry zapach dymu, który zaczął też wykwitać przed nami wielkim, różowym kłębem.

Stanęliśmy w miejscu, a psy opadły nas wielkim półkolem, rozjuszone i wściekłe.

Dopiero po chwili wyrósł przed nami, jakby spod ziemi, człowiek. Krzyknął coś ku nam po tatarsku i otrzymawszy jakąś odpowiedź od Tryfona huknął na psy, które przycichły nagle i warcząc skulone ku ziemi zniknęły w ciemności.

Przeciskaliśmy się teraz przez stado wołów, omijając co chwila tarasujące nam drogę rozwalone na ziemi wielkie cielska.

Koło ogromnego ogniska siedzieli w kucki i leżeli ludzie. Było ich chyba ze dwudziestu. Wszyscy obrośnięci i chudzi, przeważnie bosi. Większość miała na głowie okrągłe, ruskie czapki lub baranice. Niektórzy byli w zniszczonych żołnierskich mundurach bez odznak.

Jedni drzemali, inni palili papierosy, patrząc nieruchomo w ogień.

Majaczące w półmroku sylwetki wołów, zarośnięte ludzkie twarze i płonące na środku ognisko, sprawiały wrażenie sceny z jakiejś bajecznej opowieści o stepowych zbójach.

Na nasz widok kilka postaci uniosło się w górę. Ktoś tam nawet krzyknął:

— A, Tryfon! pozdrawlajem — lecz większość tkwiła nadal nieruchomo i obojętnie zapatrzona w ogień. Znać, że nie obca była tym ludziom wizyta Tryfona.

Teraz zbliżył się do nas jakiś wąsaty mężczyzna. Ubrany był mimo lata w ciepłą watowaną fufajkę, takie same spodnie i wielką baranicę. Nogi miał jednak bose. Zamienił kilka słów z moim towarzyszem i widać zapytał o mnie, bo spostrzegłem, jak skinął w moją stronę głową.

W odpowiedzi Tryfon uśmiechnął się po swojemu i słyszałem jak odpowiedział:

— Polak, bieżeniec. Pust paczytsia.

Posłyszałem jeszcze jak wąsacz odpowiedział Tryfonowi na jakieś jego pytanie:

— Niet, jewo jeszcze zdieś niet'.

Potem ci usadzili mnie przy ogniu na pachnącej brzydko skórze, a sami zniknęli każąc mi spokojnie czekać.

Powoli zaczęła ogarniać mnie senność. Przez chwilę jeszcze siedziałem zapatrzony w ognisko, od którego biło przyjemne ciepło. Wreszcie widząc, że nic nadzwyczajnego się nie dzieje, oparłem się najpierw na łokciu, potem ułożyłem na boku i nie spostrzegłem nawet kiedy zasnąłem.

Dopiero po dłuższej chwili obudziło mnie ujadanie psów i ruch dokoła. Otworzyłem oczy i spostrzegłem wstępującego w krąg światła wąsatego żołnierza i Tryfona.

Przetarłem oczy i senność odleciała ode mnie zupełnie, gdyż oto obok nich zobaczyłem ze zdumieniem dwóch niemieckich żołnierzy. Jeden był wysoki i chudy. Na nosie połyskiwały mu w świetle ogmnia okulary. Drugi średniego wzrostu, wąsaty i przysadzisty przypominał właściciela sklepu korzennego. Zielony mundur opinał mu się ciasno na wydatnym brzuchu. Obaj rozglądali się ciekawie po otoczeniu i poprawiali z zażenowaniem żołnierskie, obciśnięte na bluzach pasy.

Ten wyższy rozmawiał z ożywieniem z Tryfonem po rosyjsku, tłumacząc wszystko drugiemu po niemiecku. Obaj wydawali się podnieceni i trochę jakby niespokojni.

Siedzący przy ogniu ludzie zaczęli się budzić jeden po drugim. Ten i ów podniósł się ze swego miejsca, kilku nawet podeszło do niemieckich żołnierzy i uścisnęło im ręce. Niemcy zasiedli też wkrótce przy ognisku na podesłanych im gościnnie kocach. Obok usadowił się Tryfon i towarzyszący im również wąsacz. Przez chwilę rozmawiali ze sobą półgłosem z ożywieniem.

W pewnej chwili Tryfon podniósł się ze swego miejsca i zaczął:

— Towariszczi...

Tryfon mówił o braterstwie narodów, o tym, że wszyscy ludzie są sobie równi, że nic nie znaczy czy ktoś jest Rosjaninem, Francuzem czy Żydem — byleby nie wywyższał się nad drugiego, że nic nie znaczy jak kto się ubiera, jak się nazywa i jaką funkcję spełnia w społeczeństwie, byle jego praca była dla dobra wszystkich, a nie przyświecał jej cel wzbogacenia się lub przewodzenia innym. Mówił o żołnierzach przelewających krew i za tych, co z tej krwi żyją i zamknięci w wygodnych gabinetach liczą tylko napływające do pancernych kas krwawo zdobyte grosze. A przez cały czas tego przemówienia przewijało się ciągle jedno słowo, które zapadło głęboko w moją dziecięcą pamięć: Rewolucja...

Patrzyłem na mego towarzysza jak urzeczony, nie mogąc od niego oderwać oczu. Wydawał mi się w tamtej chwili jakimś mocarzem, który przyszedł odmienić zły do tej pory, bezlitosny świat, a ci wszyscy skupieni koło ogniska ludzie, jego towarzysze i przyjaciele nabrali w mych oczach również jakichś nadprzyrodzonych cech. Patrzyłem na nich wszystkich jak zahipnotyzowany, wstrzymując oddech, by nie spłoszyć tego nierealnego obrazu. Kiedy od czasu do czasu spoglądałem w górę, widziałem ulatujące w niebo snopy iskier. Wyłaniały się raz po raz z czerwonawego dymu, wzbijały wysoko ku górze, wiły jak małe węże i wreszcie znikały w nieskończoności.

Przez chwilę wydało mi się, że kilka z nich zawisło wysoko, wysoko na niebie, zamieniając się w gwiazdy. Lecz były to gwiazdy prawdziwe, które zaczęły się wyłaniać jedna po drugiej coraz rojniej i gęściej, rzucając na daleki step delikatną poświatę.

Kiedy Tryfon skończył, ludzie zaczęli grupować się w niewielkie grupki i coś radzić. Potem piekli na rożnie nad ogniskiem wielki udziec wołowy, pryskający dokoła iskrami palącego się tłuszczu i rozsiewający smakowity zapach. A potem wszyscy jedliśmy to mięso, rwąc je z ogromnych, odciętych nożem kawałów zębami i śpiewaliśmy razem tęskne, stepowe pieśni — mieszające się z tęsknym psim ujadaniem.

Po tym wszystkim nie mogłem długo zasnąć, choć było tak przytulnie i miękko pod wielką baranicą. Słyszałem długo, długo wokół siebie nocną muzykę świerszczy, postękiwania wołów, ciężkie ludzkie chrapanie i dobiegające z ciemności tajemnicze śpiewy czarnomórskiego stepu.

*

Pamiętam maszerujących po ulicach Odessy żołnierzy niemieckich ozdobionych czerwonymi kokardkami, pamiętam Francuzów, którzy wysłani na pomoc „białym" obrońcom carskiego reżimu, podnieśli bunt na statkach stojących w odeskim porcie, nie chcąc wystąpić zbrojnie przeciwko żołnierzom rewolucji. Pamiętam angielskich, ciemnolicych Sipajów w ogromnych turbanach, którzy dezerterowali z szeregów, łącząc się z oddziałami walczącej ze starym porządkiem świata, młodej Czerwonej Armii, pamiętam Turków, którzy masowo zaczęli opuszczać swe oddziały i Polaków, łączących się z wielkim ruchem.

Pamiętam szary wieczór w „tiepłuszce", kiedy staliśmy na bocznym torze Sartorowocznej, oczekując na skompletowanie pociągu do Polski. Mżył wtedy szary, zimowy deszcz i nad torami leżała lepka, rzadka mgła. W jednym kącie wagonu palił się niewielki piecyk, koło którego suszyła się bielizna. Obok przy stoliku siedział mój ojciec, który niedawno przyjechał z Kijowa, uzyskawszy dla nas pozwolenie powrotu do kraju. Młodsze dzieci już spały. Ja z matką staliśmy w uchylonych drzwiach wagonu, spoglądając na latarki błądzących wśród plątaniny szyn kolejarzy. A właśnie do wagonu zbliżała się jakaś para. Wysoki, szczupły mężczyzna w wojskowej, nasuniętej na tył głowy czapce i mała, sucha kobiecinka, wyglądająca przy nim jak dziecko. On miał na czapce wielką czerwoną gwiazdę i czerwoną opaskę na ramieniu. Ona na głowie czarną, świąteczną chustkę, jaką noszą zwykle wdowy. Był to Tryfon i babuszka.

Zatrzymali się przed naszym wagonem i wspięli po drewnianych, przystawionych do drzwi stopniach. Babuszka przyniosła ze sobą duży koszyk z jedzeniem, Tryfon szeroki, serdeczny uśmiech. Pozostali u nas do późnego wieczora. Piliśmy razem herbatę.

Kiedy odchodzili, Tryfon podniósł mnie w górę i uścisnął, kłując mi twarz zarostem i powiedział słowa, które zapadły mi głęboko w pamięć.

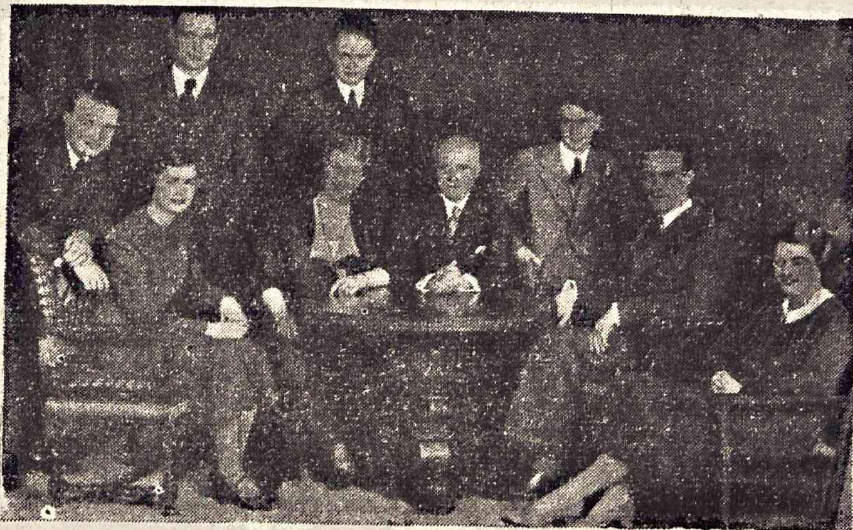
— Pamiętaj synok — nazywał mnie tak od dawna — pamiętaj, że rewolucja to wielka dla całego świata rzecz.

Następnego dnia wyruszyliśmy w drogę do Polski.

Andrzej Kobyłecki

EDMUND OSMAŃCZYK

Doktór Gustaw von Bohlen und Halbach



Krupp w otoczeniu rodziny

W numerze 15 dziennika wydawanego w języku niemieckim przez władze okupacyjne amerykańskie dla ludności niemieckiej, „Die Neue Zeitung", na str. 2 zamieszczona została krótka notatka tej treści:

„Były kierownik zakładów Kruppa w Essen dr Gustaw Krupp von Bohlen und Halbach zmarł w poniedziałek po długiej chorobie w 80 roku życia".

W numerze 15 dziennika wydawanego w języku niemieckim pod kontrolą władz okupacyjnych francuskich dla ludności niemieckiej, „Der Kurier", na str. 2 zamieszczona została krótka notatka treści następującej:

„Dr Gustaw von Bohlen und Halbach zmarł w 80 roku życia w Blühnbach k. Salzburga, gdzie sparaliżowany i ciężko chory spędził ostatnie lata swego życia".

W numerze 15 dziennika wydawanego w języku niemieckim przez brytyjskie władze okupacyjne dla ludności niemieckiej, „Die Welt", na str. 4 pod wiadomościami gospodarczymi, zamieszczony został w żałobnej obwódce wielki, następujący treści nekrolog:

Po wieloletnich ciężkich cierpieniach
zmarł 16 stycznia 1950 r.
w 80 roku życia

DR GUSTAW KRUPP VON BOHLEN UND HALBACH

Berta Krupp von Bohlem und Halbach z dziećmi i wnukami Czasowo w Blühnbach k. Salzburga. - Essen-Bredeney, Frankenstrasse 379

W dzień później, w tymże samym dzienniku brytyjskim dla ludności niemieckiej, zamieszczony został dwa razy większy nekrolog treści następującej:

Wczoraj

PAN DOKTÓR GUSTAW KRUPP VON BOHLEN UND HALBACH

został odwołany do wieczności

Jako przewodniczący Rady Nadzorczej w ciągu lat przeszło 30 wycisnął on swe piętno na naszych przedsiębiorstwach, aż w roku 1943 choroba i starość zmusiły go do przekazania władzy w ręce najstarszego swego syna.

Jego działalność cechowała wytworna prostota, myśl szlachetna i gotowość przyjścia z pomocą każdemu. Jego osobowość gwarantowała mu najwybitniejsze stanowiska w niemieckiej gospodarce. Jego imię posiadało wysoki wydźwięk również w kołach gospodarczych zagranicą.

Jego myśl i jego praca były związane zawsze z zawołaniem Alfreda Kruppa:

„Celem pracy winno być dobro ogółu,
A wtedy praca jest błogosławieństwem,
A wtedy praca jest modlitwą".

Pełni żalu składając mu hołd żegnamy Pana Kruppa von Bohlen und Halbach.

Dyrektorium Zakładów im. Friedricha Kruppa

Essen, 17 stycznia 1950 r.

W numerze 15 dziennika wydawanego w języku niemieckim przez radzieckie władze kontrolne dla ludności niemieckiej, „Tägliche Rundschau", na str. 3 obok korespondencji z Düsseldorfu, informującej o protestach robotników w Zagłębiu Ruhry i remilitaryzacji Niemiec Zachodnich, umieszczona została wiadomość pt.: „Zmarł zbrodniarz wojenny Krupp von Bohlen und Halbach" treści następującej:

„16 stycznia zmarł w swej willi w Tyrolu Krupp von Bohlen und Halbach. Gustaw von Bohlen był sekretarzem poselstwa pruskiego przy Watykanie i otrzymał od „najwyższego pana" za zasługi w zbrojeniu cesarskiej Rzeszy Wilhelma II prawo noszenia przydomku „Krupp", bowiem nie on, lecz żona jego Berta Krupp była spadkobierczynią esseńskiej gigantycznej kuźni zbrojeniowej niemieckiego imperializmu.

Dla Gustawa von Bohlen und Halbach wszystkie metody były dobre, jeśli mogły zaspokoić jego żądzę władzy i zysku. Już przed pierwszą wojną światową wprowadził on system „zaopatrywania obydwu stron" i tak na przykład sprzedawał koncernom francuskim tajemnicę niemieckich dział polowych, dla koncernu angielskiego „Vickers - Armstrong" dostarczył zapalników dla 123 milionów granatów, a Ameryce sprzedawał płyty pancerne o 800 marek taniej na sztuce, niż własnemu krajowi.

W latach trzydziestych licząc na równie wspaniałe zarobki w wypadku dojścia Hitlera do władzy, von Bohlen finansował partię nacjonal - socjalistyczną i już w roku 1935 dzięki szaleńczym zbrojeniom zyski Kruppa osiągnęły sumę 232 miliony marek.

W maju 1945 von Bohlen und Halbach jako jeden z głównych zbrodniarzy wojennych został aresztowany i postawiony w stan oskarżenia przez Trybunał Międzynarodowy w Norymberdze razem z Goeringem, Ribbentropem, Keitlem i innymi, lecz wówczas przed procesem został zwolniony przez Amerykanów, którzy pozwolili mu zamieszkać w swojej willi w Tyrolu, gdzie zmarł przed dwoma dniami. Wraz z nim odszedł największy wojenny zbrojeniowy magnat niemieckiego imperializmu".

Z czterech pism reprezentujących cztery mocarstwa w Niemczech, jedno tylko odsłoniło czytelnikowi niemieckiemu prawdę o „byłym kierowniku zakładów Kruppa", którego „działalność cechowała wytworna prostota, myśl szlachetna i gotowość przyjścia z pomocą każdemu" i który „sparaliżowany i ciężko chory" przebywając z rodziną „czasowo", gdyż pod Salzburgiem, zmarł „po wieloletnich ciężkich cierpieniach".

„O umarłych nic albo dobrze" — rzekną w zachodniej kulturze dobrze wychowani durnie, słuchacze „Głosu Ameryki", Londynu i Madrytu.

O, nie! — tu sprawa poważniejsza, niż załgana wartość przysłowia.

Bo, cóż to znaczy, że w piśmie amerykańskim dla ludności niemieckiej nie wspomina się słowem o zbrodniach zbrodniarza stojącego w roku 1918 i w roku 1945 na liście pierwszych dwudziestu głównych zbrodniarzy?

Bo, cóż to znaczy, że w piśmie francuskim dla ludności niemieckiej wspomina się chorobę zbrodniarza, a nie wspomina się milionów śmierci zawinionych przez zbrodniarza?

Bo, cóż to znaczy, że w piśmie brytyjskim dla ludności niemieckiej gloryfikują zbrodniarze zbrodniarza, a Pani Berta Krupp może ogłaszać narodowi niemieckiemu, iż mieszka „czasowo" w swojej willi w Tyrolu, podając jednocześnie swój „właściwy" adres w Essen?

To znaczy przecież, że pani Berta Krupp z dziećmi i wnukami zapowiada z okazji śmierci swego męża, którego imię „posiadało wysoki wydźwięk w kołach gospodarczych za granicą", iż za zgodą władzy brytyjskiej i z pomocą tego powojennego zięcia, oficera armii amerykańskiej i z pomocą starych przyjaciół z koncernów: „Schneider — Cresot", „Vickers — Armstrong" i „Dupont" wróci do Essen-Bredeney, Frankenstrasse 379.

A to znaczy, że ten nekrolog zbrodniarza zamieszczony z opłaconą powściągliwością w piśmie amerykańskim i francuskim, i z opłaconym bezwstydnie peanem na cześć zbrodniarza w piśmie brytyjskim, że ten nekrolog zbrodniarza jest zapowiedzią nowych milionów nekrologów drukowanych we wszystkich językach Europy, nekrologów ludzi, którzy polegną w nowej wojnie.

Przesada? — Na pewno przesada, ale tylko pod jednym warunkiem, że w Niemczech Zachodnich, że w Zagłębiu Ruhry protestujący w dniu śmierci Kruppa przeciw śmierci nadciągającej z remilitaryzacją Niemiec robotnik niemiecki w Düsseldorfie, Essen, Bochum, Herne, Bottrop, Wanne-Eickel, Gelsenkirchen, Castrop-Raukel, Dortmundzie — zwycięży!

Edmund Osmańczyk

P. S. W prasie amerykańskiej, którą otrzymałem już po napisaniu niniejszej notatki znalazłem na pierwszych stronach wiadomość „Associated Press", datowaną z Waszyngtonu, treści następującej:

„Pani Berta Krupp, wdowa po zmarłym przed kilku dniami b. niemieckim królu zbrojeniowym von Bohlen pragnie wejść z powrotem w posiadanie przejętych przez aliantów w roku 1945 zakładów Kruppa. Adwokat Pani Krupp, George Davis z San Francisco poczynił już w tej sprawie pierwsze kroki w Wysokiej Komisji Alianckiej w Niemczech. Davis oświadczył, że przeprowadził już rozmowy z wysokim komisarzem USA Mc Cloyem i brytyjskimi władzami.

Pani Krupp żyje w pobliżu Salzburga. Wartość zakładów Kruppa ocenia się na pół miliarda dolarów".

E. O.

FOTOGRAFIKA

Artysta w służbie techniki

W tych dniach rozstrzygnięto — ogłoszony przez Naczelną Organizację Techniczną (NOT) — konkurs na fotografię artystyczną pt. „Piękno Techniki". Oto wyniki konkursu:

I. Nagroda — dr Tadeusz Przypkowski za pracę pt. „Astrolagium". Trzy równorzędne nagrody drugie: Adam Bogusz za pracę „Bagier", Stanisław Dąbrowiecki za „Śląsk pracuje" i inż. Tadeusz Jankowski za „Detale z duralu".

Konkurs był ciekawy, niebanalny, pragniemy go więc po krótce omówić.

Godną podkreślenia jest przede wszystkim inicjatywa NOT. Oto jedna z centralnych organizacji dyspozyjnych, by zdobyć dla swej prasy fachową fotografię, d o b r ą fotografię, zrywa z tradycją „wyszukiwania odpowiednich zdjęć" w agencjach i wśród przygodnych amatorów. Porozumiewa się z fachowymi organizacjami świata fotograficznego i decyduje się na trudy (i koszty) ogłoszenia konkursu. Konkurs był o typie tzw. „zamkniętym"; zaproszono do udziału dwudziestu wybitniejszych polskich fotografików (fotografik — termin fachowy na określenie fotografa artysty), którzy dawali gwarancje sumiennego podejścia do zagadnienia.

Zapotrzebowanie na fotografię jest olbrzymie. Można by tu wymienić obok NOT nieomal wszystkie ministerstwa, wszystkie centrale i wszystkie zjednoczenia. Niestety, nie ma u nas wyrobionych pojęć w zakresie d o b r e j fotografii. Powszechność fotografii, bez której dzisiaj nie istnieje dziennik, nauka, medycyna, geodezja, książka, astronomia, turystyka, handel i dziesiątki innych dziedzin życia, spowodowała, że dosłownie wszyscy chcą się znać na fotografii. Ileż pracowni fotograficznych istnieje po różnych instytucjach, ba, w każdym dzienniku i czasopiśmie jest stanowisko redaktora działu fotograficznego; w większości wypadków są to etaty obsadzone przez ludzi — oczywiście — dobrej woli, ale całkowicie bez przygotowania fachowego. Przeważnie decyduje fakt zajmowania się za młodu fotografią z amatorstwa, co ma być jednoznaczne ze znawstwem tematu.

Oczywiście nie wszystko co jest fotografią — jest złą fotografią. Nie zawsze też fotografika (fotografia artystyczna) będzie jedyną i wyłączną dostarczycielką d o b r e j fotografii. Rozgraniczenie tych dwóch dziedzin jest trudne, tym trudniejsze, gdy fotografikom stawia się wyraźne zadania służenia potrzebom życia codziennego (jak w wypadku NOT).

W skład sądu konkursowego omawianej imprezy weszli fachowcy technicy i fachowcy-fotograficy, członkowie Komisji Kwalifikacyjnej Polskiego T-wa Fotograficznego Oddz. w Warszawie. Było do przewidzenia, iż taki skład sądu konkursowego spowoduje zasadnicze różnice zdań, ale i doprowadzi do pożądanej i ciekawej dyskusji. Jeden z obrazów fotograficznych nadesłanych na konkurs przedstawiał zespół kominów fabrycznych. Inny statki w czasie postoju w porcie. I tu i tam artysta dojrzał w motywach piękno techniki. Inżynierowie twierdzili, że w jednym i drugim obrazie nie ma piękna t e c h n i k i. Że są to pejzaże. Było zagadnienie jeszcze ciekawsze. Oto nadesłano obraz, którego treścią było nitowanie kadłuba parostatku. Obraz i artystycznie i „technicznie" przedstawiał niewątpliwą wartość. Zarzut świata technicznego brzmiał: na obrazie nitowanie odbywa się ręcznie. Piękno nowoczesnej techniki leży natomiast w m e c h a n i c z n y m, maszynowym nitowaniu. Nitowanie ręczne należy już do przeszłości.

O tych niemal intymnych szczegółach z obrad jury piszę nie dlatego, aby rozszerzyć dyskusję. Została ona zakończona z chwilą ogłoszenia wyników konkursu. Jest dla mnie natomiast faktem pozytywnym, iż dyskusja, t a k a dyskusja, z udziałem powołanych do tego fachowców w ogóle się odbyła, dokładając solidną cegłę do współpracy pomiędzy fotografiką a przemysłem.

Roman Burzyński

WIKTOR WOROSZYLSKI

BATALIA O

W roku ubiegłym w prasie literackiej radzieckiej oprócz dyskusji o kosmopolityzmie i roli kultury narodowej mieliśmy parę dyskusji nader istotnych na temat spuścizny po Majakowskim, poziomu artystycznego szeregu utworów literackich, roli recenzji w wydawnictwach, itd.

Udzielamy dzisiaj głosu Wiktorowi Woroszylskiemu, który na prawach wolnej trybuny, referując dyskusję w ZSRR — daje wyraz swemu poglądowi na temat stanu poezji w Polsce. Rzecz jasna, udzielimy głosu i dalszym uczestnikom dyskusji.

I

Zaczęło się od tego, że młody poeta, Georgij Gornostajew, który zadebiutował półtora roku temu poematem „Tuła", ogłosił na wiosnę 1949 nowy poemat pt. „Gwiazdy kremlowskie". Po kilku miesiącach w popularnym piśmie „Litieraturnaja Gazieta" ukazała się łączna recenzja z obu poematów, pióra Ir. Pitlar. Recenzentka surowo potraktowała młodego poetę. W artykuliku jej, zatytułowanym „Owoce stylizacji", znalazły się m. i. takie sformułowania: „..poeta zajmuje zasadniczo błędne pozycje teoretyczne". Jakie? „Gornostajew usiłuje wskrzesić kompozycję, składnię, rytm i rymy Majakowskiego, ale, naturalnie, dochodzi przy tym do wręcz przeciwnych rezultatów". I morał: „Im prędzej poeta zrezygnuje ze swojej uparcie bronionej błędnej pozycji... tym prędzej będziemy mogli mówić o zjawieniu się w naszej poezji nowego i ciekawego poety".

Recenzja nie minęła bez echa. Po niedługim czasie na łamach tego samego czasopisma wystąpił znany poeta Semion Kirsanow z artykułem dyskusyjnym pt. „Czy uczyć się u Majakowskiego". „Wiersz puszkinowski — powiada Kirsanow — okazał się nie tylko własnością samego Puszkina, ale mieniem całej naszej poezji, jej klasyczną formą. Tak samo wierszowi wielkiego Majakowskiego sądzone jest obecnie stać się mieniem całej naszej poezji, stać się jej nową klasyczną formą. Forma ta wchłonęła całe doświadczenie poprzedzającego ją rozwoju wiersza rosyjskiego. Mówimy: wiersz Majakowskiego — to wiersz puszkinowski **dzisiaj!** Taka jest siła wyrazu tego wiersza, taka zgodność tej formy z treścią i duchem epoki socjalizmu! Ale nie! Próby kontynuacji wiersza Majakowskiego ogłasza się stylizacją, parodią..." Polemizując z Ir. Pitlar, Kirsanow rozwija dalej swą myśl: „Poetyka Majakowskiego jest i będzie naturalną klasyczną poetyką nowego społeczeństwa, a współzawodnictwo „dobrych i różnych" poetów radzieckich udowodni jej przewagę także w przyszłości. Oczywiście, Gornostajew nie bez trudności opanowuje tę potężną poetykę. Nie mało znajdziemy u niego załamań i niedokładności, słabizn kompozycji — jest on jeszcze uczniem w klasie Majakowskiego. Ale uczniem zakochanym w nauczycielu, wierzącym mu, dążącym do opanowania wszechstronego rzemiosła. Zajmuje on w swojej twórczości, która dopiero się zaczęła, pozycję zasadniczą — jest zwolennikiem klasycznego wiersza radzieckiej epoki. Jest przeświadczony, że ten wiersz najbardziej zdolny jest do wyrażenia naszych idei, naszych uczuć, do oddania życia społeczeństwa radzieckiego. I to, co Ir. Pitlar przezywa stylizacją, — w rzeczywistości jest zastosowaniem sprawdzonych zasad artystycznych, zawartych w utworach naszego wielkiego poety. Zbieżność wiersza Gornostajewa z wierszem Majakowskiego — jest zasadnicza. Takiej zbieżności młodych poetów z Majakowskim należy bronić w imię przyszłości naszej młodej poezji". Artykuł swój Kirsanow zakończył wezwaniem do młodych poetów: Nie rezygnujcie z Majakowskiego, uczcie się u niego i głębokiej ideowości i nowej klasycznej formy, nieustraszenie próbujcie i szukajcie tam, gdzie szukał i znajdywał on, najlepszy i najbardziej ustalentowany poeta epoki radzieckiej!"

Już w następnym numerze „Litieraturnoj Gaziety" zabrał głos nowy uczestnik dyskusji. Był nim znany poeta Al. Surkow, który na wstępie słusznie stwierdził, iż „polemika ta dotyczy nie tylko losów początkującego poety G. Gornostajewa". „Podniesiono wielką kwestię dziedziczności tradycji twórczych najlepszego, najbardziej utalentowanego poety naszej epoki radzieckiej — Włodzimierza Majakowskiego. To sprawa znacznie szersza, niż spór, czy Gornostajew jest dobry czy niedobry. Dotyczy to poezji radzieckiej w ogóle". Po tym oświadczeniu większą część swego artykułu Surkow poświęcił jednak wykazywaniu, jakim niedobrym poetą jest Gornostajew. Nastąpiło wyliczenie kilkudziesięciu rymów (właściwie asonansów) Gornostajewa, które się Surkowowi nie spodobały, później autor zatrzymał się na kilku wyrwanych z kontekstu zdaniach o rzekomo dziwacznej składni, wreszcie podsumował swoją opinię o młodym poecie: „Gornostajew jest wyraźnie zdolnym człowiekiem, ale w poematach jego jeszcze wołają o pomstę do nieba i smak literacki i elementarne prawidła wierszowania, o często — także elementarna logika życiowa... **Łatwe** kopiowanie **zewnętrznej** strony Majakowskiego nie jest podążaniem drogą najlepszego, najbardziej utalentowanego poety naszej radzieckiej epoki". Przechodząc do zagadnienia „majakowszczyzny" w ogóle, Surkow uparcie rozbija poetykę Majakowskiego na ważną „treść" i rzekomo nieistotną „zewnętrzną" stronę (formę). Treść — to współczesna, polityczna walka o komunizm — wszyscy prawie poeci radzieccy poświęcają tej tematyce swe utwory, więc wszyscy kontynuują Majakowskiego. Zewnętrzna strona — to „suma chwytów formalnych", do której Surkow ustosunkowany jest niechętnie.

Rozgorzała gwałtowna dyskusja. Wzięło w niej udział około 300 osób. Na łamach „Litieraturnoj Gaziety" i innych pism wypowiadali się poeci i krytycy, do redakcji wpłynęła duża ilość listów czytelników, które zreferowano w artykule sumującym, inni czytelnicy — przeważnie wykładowcy i studenci moskiewskich wyższych uczelni — zabierali głos w publicznej dyskusji zorganizowanej przez zainteresowaną redakcję. Mówiono o Gornostajewie, ale w rzeczywistości coraz mniej chodziło o niego, coraz więcej o problem zasadniczy — c z y i j a k należy kontynuować obecnie poetykę Majakowskiego?



Włodzimierz Majakowski

Antagoniści Majakowskiego — występujący zresztą w wyraźnej mniejszości — mówili: „rytmika poezji Majakowskiego była uwarunkowana przez całą strukturę epoki rewolucyjnej" i dlatego ponoć nie trzeba obecnie powtarzać „budowy jego wiersza", bo nastąpiła inna epoka (poeta Gribaczew w gazecie „Izwiestia"). Nowatorstwo Majakowskiego, według niektórych innych dyskutantów, polegało wyłącznie na tym, iż on „pierwszy wniósł do poezji bojowy radziecki temat" (poeta Isakowski w miesięczniku „Znamia"). Ir. Pitlar, występując w trakcie publicznej dyskusji w redakcji „Litieraturnoj Gaziety", główny nacisk kładła na twierdzenie, że „kontynuowanie tradycji nic wspólnego nie ma z naśladowaniem tego czy innego poety". Niektórzy uczestnicy dyskusji uznając formalnie tradycję Majakowskiego ostro atakowali Gornostajewa, który próbował wyciągnąć z tej tradycji wnioski praktyczne.

A stronnicy Majakowskiego? Znany poeta Asiejew polemizuje w artykule „O towarzyszach potomkach" z przestarzałymi, przed-majakowskimi poglądami Surkowa na rytm, rym, zwrotkę. Wypowiedź swą Asiejew kończy tak: „Dumny jestem, że żyłem i pracowałem za czasów Majakowskiego. Dumny jestem, że i na moją twórczość padł odblask jego płomienia. Nie czuję się ani trochę poniżony przez to, że skala jego i mojego talentu są niewspółmierne. Tacy, jak Majakowski, zjawiają się w poezji raz na sto albo nawet dwieście lat. **Początkiem** nowej epoki w ludzkiej świadomości poetyckiej pozostaje Majakowski. Początkiem, a nie końcem, jak sądzą niektórzy.... U Majakowskiego natchnienie było zjawiskiem tak stałym, jak nastrój roboczy, jak aktywność literata, który nie może nie reagować na wszystko, co obchodzi ludzi radzieckich, na wszystko, co ich podnieca, cieszy, martwi. I ten nastrój roboczy, aktywność obywatelska, nie były zwykłym pragnieniem zareagowania na jakieś zjawisko, lecz umiejętnością ujawnienia, oświetlenia, pokazania tego zjawiska w sposób tak nieoczekiwanie jaskrawy, że stawało się ono dostępne i dla tych, których nie dotknęło ono do głębi. Po to niezbędne były środki wyrazu artystycznego o niezwykłej mocy. Nie stopniowe przesiąkanie w dziedzinę gustów, sympatii, skłonności literackich, lecz szybkie, aktywizujące działanie, sprawiające wrażenie w potrzebnym autorowi kierunku..."

W kolejnym numerze „Litieraturnoj Gaziety" krytyk An. Tarasienkow podkreśla: „Forma Majakowskiego nie jest neutralna. Jest ona przepojona nową, rewolucyjną treścią jego poezji, jest przez nią uwarunkowana". Jako przykład owocnej nauki u Majakowskiego, Tarasienkow wymienia cykl wierszy z podróży Konstantego Simonowa pt. „Przyjaciele i wrogowie". „Simonow.. — pisze Tarasienkow — nie tylko kontynuował temat Majakowskiego, ale i twórczo przejął niemałą ilość jego sposobów poetyckich — jaskrawą hiperbolizację, wykrzyknikowe intonacje, rytm rozmowy".

Na dyskusji publicznej w redakcji „Litieraturnoj Gaziety" mówił student Kotow: „Tradycje poezji Majakowskiego — to cały doskonale uregulowany kompleks pojęć, ściśle związanych ze sobą. Wśród nich po pierwsze — partyjność, bezwarunkowa, nie tolerująca żadnych dwuznaczników pryncypialność, jego niestrudzona, prawdziwie rewolucyjna pasja, ofiarność i, oczywiście, znakomite, genialne nowatorstwo w dziedzinie poetyki". Za rzeczywistych kontynuatorów tradycji Majakowskiego Kotow uważa tylko tych poetów, którzy wyznają również jego poetykę, albowiem ona najpełniej wyraża naszą współczesność. „Kanoniczny wiersz Twardowskiego i Isakowskiego — powiedział Kotow — stopniowo sam zaniknie". Wśród czytelników, zabierających głos w dyskusji, Kotow nie był osamotniony. Z wielu listów, które otrzymała redakcja „Litieraturnoj Gaziety" powtórzymy w tym miejscu kilka typowych. „Epoka walki o komunizm trwa — pisze uczeń 636 szkoły w Moskwie, Landau — i dlatego żyje i będzie żył styl poetycki, stworzony przez Majakowskiego, bojownika o komunizm. Teraz jeszcze nie wszyscy poeci piszą stylem Majakowskiego, ale poeci przyszłości z dumą dźwigną sztandar, podniesiony przez wielkiego poetę epoki radzieckiej". Zasłużony lekarz RSFRR, Riabow, stwierdza: „Heroiki naszych dni nie można wyrazić sztampowym wierszem i oklepanymi rymami. Dlatego nierzadko wywołują uśmiech wiersze poetów, którzy, wyznając stare reguły rymotwórcze, usiłują oddać osiągnięcia produkcyjne górników lub sztukę pilota". Aspirant Uniwersytetu Moskiewskiego, Abramow, przypomina: „Wiersz Majakowskiego, jego język, jego rymy, charakter obrazowania — to teraz również groźna broń poetycka. Dlatego pisarze powinni głębiej studiować poezję Majakowskiego i wnikliwie przyswajać sobie te środki artystyczne, to mistrzostwo, przy którym, według słów Majakowskiego, wystrzał poetycki najpewniej trafi do celu". Wreszcie inżynier Iliadi i kapitan Kulikow z Odessy powiadają we wspólnym liście: „Tam, gdzie próżna scholastyka, martwe obrazy, prywatny zamknięty światek, tam nie ma Majakowskiego! Tam jest to, z czym Majakowski walczył do końca życia! Tam, gdzie są słowa od serca, gdzie źródłem natchnienia jest miłość swego ludu, tam nauczycielem — Majakowski!"

Tak wygrali swą wielką batalię radzieccy zwolennicy Majakowskiego i „majakowszczyzny".

II

Wróćmy do punktu wyjścia. Batalia o Majakowskiego toczy się nie tylko w ZSRR. Jest ona aktualna także i u nas. Dzięki zaś trwającej obostrzonej walce klasowej, w której każda wypowiedź ideologiczna **natychmiast i bezpośrednio** służy, jak nie jednej, to drugiej stronie barykady klasowej — dyskusja ta zawiera momenty bardziej jeszcze drażliwe i zapalne.

Jakie jest to najbardziej podstawowe podłoże, owa ostateczna instancja, sprawiająca, że dyskusję o **rosyjskim** poecie należy uważać za najżywotniejsze zagadnienie współczesnej poezji **polskiej?**

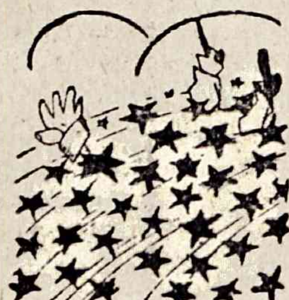
Tak, jak daleko poza ramy narodowe wykracza znaczenie Rewolucji Październikowej narodu rosyjskiego, tak i twórczość największego piewcy tej rewolucji — Włodzimierza Majakowskiego — stanowi przełom nie tylko w poezji rosyjskiej, ale i w poezji światowej. Nowa treść, zupełnie nowe widzenie świata, odważne postawienie przed twórczością literacką nowych zadań

MAJAKOWSKIEGO

Rysunki W. MAJAKOWSKIEGO

i rozwiązanie ich nowymi środkami poetyckimi — oto w skrócie zjawisko, któremu na imię Majakowski, zjawisko, obok którego nie mogli obojętnie przejść Neruda, Broniewski, Aragon, Brecht i Nazim Hikmet.

Rzekło się, że w antagonistycznym społeczeństwie klasowym dyskusje literackie również mają sens klasowy. Kiedy u nas po wojnie, w warunkach rozwijającej się i umacniającej swe pozycje rewolucji ludowej, w warunkach ostrej walki klasowej, kilku młodych poetów świadomie przyjęło, jako ideologiczny punkt wyjścia swej twórczości, tradycję Włodzimierza Majakowskiego, spotkali się oni z niechęcią lub wręcz wrogością niektórych innych poetów i redaktorów pism literackich. Dzisiaj, bogatsi o ważkie doświadczenia polityczne ostatnich lat, potrafimy wysnuć diagnozę: teoryjka o „niepowtarzalności“ Majakowskiego była zwykłym przeniesieniem na grunt literacki gomółkowskiej „polskiej drogi do socjalizmu“, rzekomo zasadniczo odmiennej od drogi radzieckiej. Majakowski był „nie-polski“ i „niepowtarzalny“, ale bardzo swojscy i godni naśladowania byli trzeciorzędni poeci francuscy okresu rozkładu sztuki mieszczańskiej. Jak zwykle, antyradziecki nacjonalizm i burżuazyjny kosmopolityzm stanowią dwa oblicza jednej reakcyjnej ideologii. W tej samej postawie należy szukać korzeni dowcipnych prób uczynienia z Majakowskiego formalisty i stępienia ostrza politycznego poezji jego i jego kontynuatorów.



Czego tylko nie bronili przeciwnicy „majakowszczyzny“! Bronili „dobrego rzemiosła“ i „tradycji kulturalnej“ przed nieukami i barbarzyńcami. Bronili „doskonałej formy klasycznej“ przed brutalami, rozbijającymi zwrotkę. Bronili języka „poetyckiego“, misternie utkanego z Led, Endymionów i Persefon, przed wtargnięciem „żywiołu niepoetyckiego“ jak pepesza, współzawodnictwo, Pstrowski, ZWM. Bronili „oryginalności“ przed „naśladowcami obcych wzorów“. Bronili... mniejsza o to jakich, mniej lub więcej obłudnych haseł! W istocie bronili własnego wstecznictwa, własnej kontrrewolucyjnej postawy — przed poetami, którzy, wyciągając konsekwencje ze swego marksistowsko-leninowskiego światopoglądu, świadomie nastawili się na produkowanie współczesnej, aktualnej, politycznej i partyjnej poezji.

Dyskusja radziecka udowodniła, że robienie dobrej współczesnej poezji partyjnej jest niemożliwe z pominięciem tradycji Majakowskiego. Przenosząc dyskusję na teren polski, postaram się poprzeć to twierdzenie przykładami, zaczerpniętymi z polskiej poezji.

Oto fragmenty wiersza Andrzeja Brauna o obiecującym tytule „Wyznanie komunisty“, opublikowanego parę lat temu w „Kuźnicy“:

Królestwo moje będzie z tego świata
i na tym świecie czeka mnie zapłata,
bo czyny moje nie należą do mnie;
choć wiedza krucha wzrastała ułomnie,
kochałem życie, tak jak ludzie prości
rzecz najcenniejszą i godną miłości —
sady drzemiące, co zapachem dymią,
strumień, co nocą lśni, niby Endymion,
ten świat, szumiący jak bór świętokrzyski,
jednako piękny może być dla wszystkich.
. . . .
Raj nasz to godne życie dla człowieka,
nasz raj na ziemi w kształt się przyobleka,
pozostawili go zmarli dla żywych.
Pragnę, by nędzarz do głodu nie przywykł,
bo mimo wieków nikczemnych pozorów
największą siłą jest zdolność wyboru.

Wyznanie komunisty? Nieporozumienie. Wyznanie laika, wyznanie racjonalisty — zgoda. Wyznanie chłodnego obserwatora - intelektualisty, nie mającego pojęcia o walce klasowej, klerka, który wykalkulował, że świat „jednako piękny może być dla wszystkich“, bowiem „największą siłą jest zdolność wyboru“ — i opowiada o tym beznamiętnym, gładkim jedenastozgłoskowcem, obfitującym w pseudoklasyczne ozdóbki.

A oto prawdziwe wyznanie komunisty:

Wczoraj przecież —
a tak odległe
jak babilońskie dzieje.
Tak chyba słuchać
musieli Ciebie
z Kaukazu widząc,
że dnieje —

Jakże zrównać z rytmem hut i maszyn
ściskające za gardło uczuć tętno —
Józefie Wissarionowiczu — pozwól — to jest nasze
nie tylko Twoje święto.

Twoje życie nie jest „prywatne“,
życiorys Twój to „kurs WKP(b)“.
Ty myśl swą całą przelałeś w Partię,
chłopsko - robotniczy żar komunisty,
i rzekom nowy bieg wyznacza słowo Twe.

Człowiek stwarza idee,
gnie dla nich —
lub idea stwarza człowieka.
Ale jak nazwać tego,
który formę komunizmu odleje
i w stali i w betonie
budowy jego doczeka.

(„Człowiek“).

Inna treść, inny rytm, inny język, inne zabarwienie emocjonalne. To też Andrzej Braun. Andrzej Braun z grudnia 1949, poeta, który głęboko zrozumiał, czym jest leninowska zasada partyjności literatury i stara się ją realizować swoją nawiązującą do Majakowskiego praktyką.

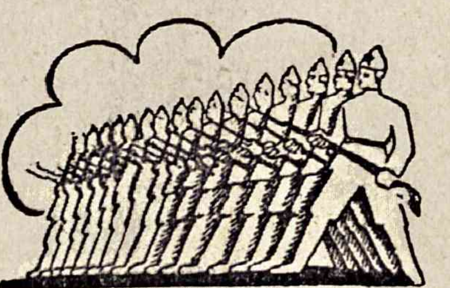
Ileś tam lat temu Majakowski pisał:

Niech tam
chińszczyzna —
język misterny —
każdy wie i tak,
że Kanton
toczy bój ten sam,
o ten sam Październik,
co riazański nasz
Iwan czy Anton.
(„Nie jubilujcie!“ — Przełożył L. Szenwald)

W 1949 roku, w obliczu wielkiej wojny ludowej w Chinach, pisze Roman Bratny:

Dla was „ból“ i „trud“,
dla was, panowie, „praca“ to chińszczyzna!
Wam poświęcę wiersz — jak but
wymierzony, by kopać po tyłkach.
— — — — — — — —
Chciałbym dzisiaj już świadomie postawić
swoje życie
— pobiec, trafić,
być trafiony, jeśli chybię,
ale tam, gdzie przebiega jak ulicznik
w rozpiętej, brudnej koszuli
wolność, która po chińsku krzyczy:
— zrozumiecie po chińsku! —
„komunizm!!“

(„Po chińsku słów parę na Marszałkowskiej“).



„Majakowszczyzna“! Piękny, mocny wiersz, z którego poeta może być dumny. W ostatnio wydanym tomiku Bratnego „Słowo miliarda“ więcej się znajdzie takich utworów: „Komunistka“, „Towarzysz“, fragmenty poematu „Wszędzie gdzie walka“. Ale obok mamy zagmatwane, formalistyczne „Dość“, czy oparte na melodramatycznej, drobnomieszczańskiej fabule „Tłumaczył Roman Bratny“.

Uwagi dotyczące Brauna i Bratnego dadzą się zastosować również do twórczości Tadeusza Urgacza, Wiktora Woroszylskiego, częściowo Tadeusza Kubiaka, Krzysztofa Gruszczyńskiego i Witolda Wirpszy. Szczególnie Woroszylskiemu zdarzało się ulegać pociągowi do formalistycznych eksperymentów — i wtedy powstawały tak nieudałe, skrzywione ideologicznie i artystycznie utwory jak „Ballada o byłym sołtysie Janie“ i i. Ilekroć jednak poeta konsekwentnie trzymał się zasad Majakowskiego, zasad partyjności poezji, wyraźnego nastawienia politycznego i dążności do nowej, świeżej, odpowiadającej treści utworu, nie wyświechtanej, a zrozumiałej formy — powstawały utwory, jak „Rosa Lee“, poemat „Świerczewski“ i i.

W rozdziale, dotyczącym radzieckiej dyskusji o Majakowskim, przytoczono pewne sformułowania, które określają dość wyczerpująco, jakie elementy składają się na zjawisko „majakowszczyzny“ i jakie są z nim sprzeczne. Uważałem za zbędne powtarzanie ich w rozdziale niniejszym. Chciałbym, by czytelnicy przypomnieli je sobie, czytając niżej przykłady twórczości autorów, uważanych i uważających się za współczesnych poetów partyjnych, a obcych i wrogich poetyce Włodzimierza Majakowskiego. Muszę się zastrzec, że brak miejsca nie pozwala mi na poruszenie odrębnego zupełnie tematu, jakim jest działalność jawnych przeciwników Majakowskiego (Jastrun, Hertz, Jerzy Miller), nie wywołująca zresztą zapewne złudzeń wśród czytelników.

Chcę się natomiast zatrzymać na twórczości Leopolda Lewina i Stanisława Wygodzkiego.

Wygodzki od kilku lat uprawia równolegle dwa rodzaje poetyckie. Pierwszy — to drukowane w pismach literackich utwory liryczno-wspomnieniowe, martyrologiczne i nastrojowe, drugi — to ukazujące się od czasu do czasu w gazetach wiersze o tematyce „społecznej“. Próbka pierwszego rodzaju:

W jednym sercu dwie rozpacze,
w jednym sercu klęsk dwadzieścia.
Chodzę po nieznanym mieście,
w którym nigdy nie zapłaczę.

Ale chodzę tam powoli
i ostrożnie, jakbym budził
pożegnanych dawno ludzi
pożegnaniem, które boli.

Mijam drzewa widne w dali,
wzgórza, domy, jak za młodu,
lecz za późno do ogrodu
i za wcześnie do szpitala.

Chyba w polu zostać jeszcze
ptaki liczyć, ale ptaki
przefrunęły mi orszakiem
kracząc, kracząc mi złowieszczo.

(Z „Wierszy szpitalnych“. „Kuźnica“, 4 grudnia 1949)

Któż to pisał? Poeta — bojownik o Polskę socjalistyczną, poeta dzisiejszej walki, dzisiejszego i jutrzejszego szczęścia? Czy może egotysta, zamknięty w ciasnym światku tanich nastroików, których jedyną pointą mogą być ptaki, „kraczące, kraczące złowieszczo“? Autor cytowanego wiersza nie wie o istnieniu Majakowskiego. Ale nie wie także o otaczającej go rzeczywistości społeczno-politycznej. To naprawdę smutne.

Może jednak Wygodzki w innych swoich wierszach spełnia warunki poezji partyjnej? Ano, sięgnijmy do zamieszczonego w czerwcu ub. roku w codziennym piśmie partyjnym wiersza pt. „Załodze Markowa i Poręckiego“. Dla informacji czytelników — ten sam numer gazety przynosi komunikat, iż zatrudniona przy budowie osiedla WSM — Mokotów brygada murarzy SPB 2 Józefa Markowa i Wacława Poręckiego, pracując systemem taśmowym, wbudowała 66.500 cegieł w ciągu 8 godzin. Na którejś z dalszych stron umieszczono także szczegółowy i ciekawy reportaż z budowy, a na czołowym miejscu, nad komunikatem, wiersz Wygodzkiego. Czytajmy:

Może są jakieś piękniejsze miasta,
może są jakieś smuklejsze mosty,
ale tylko u nas wyrasta
z drzewem kwitnącym zapach pokostu.

Odmieniłaś wiosno zapachy,
murarz inne kolory obrał,
w gąszczu cementu, cegieł i piachu
wapno zakipi z gęstym cynobrem.

Takie są dzieje! Inna jest wiosna
naszego kraju. Nawet na Rynku
Starego Miasta w górę wyrosną
ściany zapachu świeżego tynku.

Tak się robi wiersz o aktualnej społecznej tematyce. Pośpiesznie, niechlujnie, szpikując banalnymi, wyświechtanymi rymami, nieciekawymi obrazami — i w gruncie rzeczy **nic nie mówiąc, nic nie wnosząc** do komunikatu i reportażu. Co dał towarzyszom Markowowi i Poręckiemu i innym naszym wspaniałym murarzom-nowatorom ten nieświeży, prymitywny wierszyk, kryjący za banalną formą ubóstwo treści, **ubóstwo ideowe**? Nic chyba, poza przekonaniem, że poeta lekceważy robotniczego odbiorcę.

Publikowanie podobnych utworów należy uznać za poważny błąd redakcji. Ale bywa jeszcze gorzej. W piątą rocznicę zbrodniczo wznieconego przez londyńską agenturę powstania warszawskiego, obok artykułów politycznych, słusznie i wnikliwie oceniających ten epizod naszej niedawnej historii, ukazuje się w jednej z gazet wiersz Leopolda Lewina pt. „Pamięci Nieznanego Powstańca“. Oto on w całości:

Lat miałeś chyba czternaście — nie więcej.
Matka codziennie tak drżała o ciebie.
Tyś kochał matkę. Lecz od niej gorręcej
Miasto kochałeś w tej krwawej potrzebie.

Tam, gdzie żelazne kikuty dziś sterczą,
Gdzie cmentarz murów upiornie się jeży,
Pod cekaemów melodię morderczą
Broń przenosiłeś — strawę dla żołnierzy.

Kto jak ty słuchał ulic nakazu?
Kto jak ty płonął sprawiedliwym gniewem?
Kto jak ty chłopcze umiał bez rozkazu
W ogień iść z wiarą i na śmierć ze śpiewem?

I nagle — krew boleśnie broczy z rany,
Seria wystrzałów jeszcze wściekle warczy,
Tego wieczoru do matki stroskanej
Wróciłeś, chłopcze, jak tamci — na tarczy.

Każdy tu kamień, każde rumowisko
Powtarza z dumą dzieje twojej sławy,
Twój grób — nieznany, nieznane nazwisko,
Lecz duch twój krąży wśród ruin Warszawy.

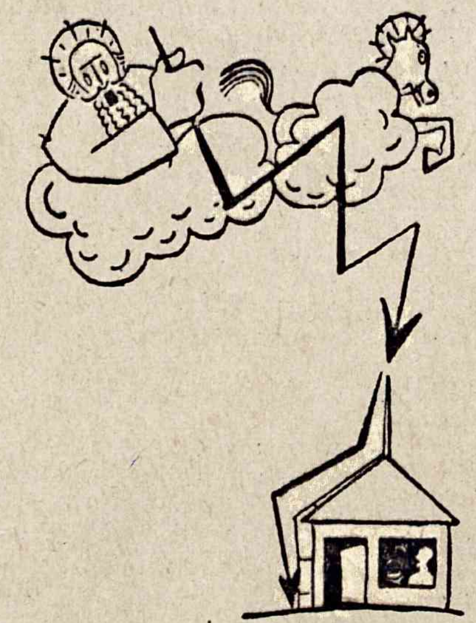
Z początku porwał mnie śmiech pusty, a potem litość i trwoga. Co to? Co się kryje za humorystyczną wprost nieudolnością poety, który latem 1949 kazał „krążyć wśród ruin Warszawy“ duchowi powstańca z niewiadomej organizacji kochającego „miasto w tej krwawej potrzebie“ i umiejącego „bez rozkazu w ogień iść z wiarą“? Nie, to już nie tylko ubóstwo ideowe. To ślepota polityczna.

Wybór tradycji ma sens ideologiczny. Z wyboru światopoglądu wynika wybór tradycji. I podobnie, jak wszyscy Polacy, wybierający światopogląd marksistowsko - leninowski, stają się tym samym jedynymi prawymi spadkobiercami **polskiej myśli postępowej** minionych wieków, tak poeci polscy, świadomie wybierający w swej twórczości tradycję Włodzimierza Majakowskiego, wybierają jednocześnie całą rewolucyjną tradycję **polskiej poezji narodowej**, poezji Mickiewicza i Broniewskiego. Jakaż tradycja pozostaje odrzucającym Majakowskiego? Krasiński, Lechoń? Nie, chyba nawet nie ta. Im pozostaje ksiądz Baka i rymowane reklamy „Chlorodontu“ na ostatniej stronie „Ikaca“.

III

Kończyłem już artykuł, kiedy wpadł mi do rąk numer dwutygodnika „Kultura i Żizń“, organu Wydz. Propagandy i Agitacji CK WKP(b), w którym redakcja ustosunkowuje się do zakończonej dyskusji o Majakowskim. Wyraźnie i ostro potępiając wsteczne wypowiedzi Ir. Pitlar, Grybaczewa, Isakowskiego, i niektórych innych uczestników dyskusji, „Kultura i Żizń“ pisze: „Majakowski jest poetą-nowatorem, zarówno w dziedzinie treści ideowej jak i w dziedzinie formy artystycznej. Ani jeden poeta radziecki nie może przejść obok doświadczeń twórczych Majakowskiego i nie odczuć na sobie potężnego wpływu jego poezji, która otwiera nową epokę w dziejach poezji światowej. Osiągnięcia twórcze Majakowskiego są tym ożywczym powietrzem, bez którego nie może żyć i rozwijać się poezja współczesna. I rzeczywiście, jakim problemem nie zajmowaliby się współcześni poeci: problemem partyjności poezji, zagadnieniem radzieckiego patriotyzmu i walki z korzeniem się przed burżuazyjnym Zachodem, tematem budownictwa socjalistycznego, tematem walki o pokój przeciw podżegaczom wojennym czy tematem wykorzenienia przeżytków burżuazyjnych w naszej ideologii i moralności — wszędzie stoi przed nami żywy przykład Majakowskiego, który wszędzie był pierwszy, był inicjatorem, który wyprzedził współczesną sobie poezję.

Odrywanie poetyki Majakowskiego od treści ideowej jego twórczości stanowi niedopuszczalną próbę pomniejszenia znaczenia Majakowskiego w ogóle, bowiem nowatorstwo Majakowskiego polegało, oczywiście,



nie tylko na nowej treści jego twórczości. Majakowski dokonał dzieła niezwykłej wagi: założył podwaliny poezji radzieckiej — przodującej poezji świata — poezji ludu, budującego komunizm; wzbogacił rosyjski język poetycki, kładąc u jego podstaw język ludu radzieckiego — „ludu-językotwórcy“ — wreszcie zreformował rosyjskie rymotwórstwo.

Poezja Majakowskiego zapładnia poezję współczesną. Uczestniczy ona nie tylko w naszej walce przeciwko załamaniom ideowym, lecz i przeciw poetom, lekceważącym formę, korzystającym ze starych, oklepanych, pozbawionych siły wyrazu rytmów i rymów, przeciw poetom, którzy starają się przyoblec nowe tematy w stare formy, przeciw estetycznej zgnuśniałości i rutynie.

W naszej literaturze nie powinno być miejsca dla zgnuśniałości estetycznej i rutyny, jakiej by nie przybierały one formy: czy formy usiłowań ogłoszenia poetyki Majakowskiego przestarzałą, czy formy prób sprowadzenia poezji Majakowskiego do rodzaju lirycznego, czy formy wykorzystania poetyki Majakowskiego jako przykrywki własnych omyłek formalistycznych“

I w naszej literaturze — też!

Wiktor Woroszylski

W SPRAWIE „GOPLANY“

Do Redaktora „Odrodzenia“

Nie wiem, jakie powody skłoniły dyrekcję opery stołecznej do rozpoczęcia sezonu „Goplaną“. Jakiekolwiek by były, nie trafiają do przekonania.

„Goplana“, którą napisał Żeleński u schyłku swej kompozytorskiej działalności, spotkała się po premierze w lwowskim teatrze pod dyrekcją Hellera i Bandrowskiego z chłodnym przyjęciem i nigdy potem nie poprawiła swej reputacji ani u publiczności ani u muzyków. Jest to utwór o niewielkiej raczej wartości muzycznej oparty o libretto, będące niedołężną i nie przystosowaną do warunków sceny operowej przeróbką Słowackiego. Napisał je Ludomir German, w owych czasach inspektor szkół średnich, na zamówienie Żeleńskiego, który jak powiadał Boy, chciał tym sposobem wyrobić synowi protekcję przy maturze. Nic przeto nie kwalifikuje tego utworu do reprezentacyjnego zadania i odpowiedzialnej roli, jaką w naszych warunkach powinnaby spełnić opera, dana publiczności na otwarcie sezonu. Nie uzasadni tego zdarzenia wmieszanie weń Słowackiego, którego portret na afiszach i programach ma jakoby nadać szczególnego splendoru widowisku i wywindować je na piedestał osiągnięć artystycznych wysokiej klasy. Przed prapremierą „Goplany“ ludzie literatury zaprotestowali przeciw indentyfikowaniu „Goplany“ z „Balladyną“ i skutkiem ich nacisku, German zmienił tytuł libretta a Żeleński opery. Wciąganie imienia Słowackiego na afisz „Goplany“ przypisać należy chyba ignorancji, o inne bowiem względy nie chcę posądzać kierownictwa opery.

Wydawałoby się, że przed przystąpieniem do ułożenia programu przedstawień operowych na cały sezon, należałoby sobie dokładnie, ale to bardzo dokładnie, zdać sprawę z tego, w jakim kierunku powinna pójść dydaktyczna akcja, którą ma spełnić opera, jako najłatwiej strawny, przystępny i popularny element propagandy dobrej muzyki wśród szerokich rzesz. Niestety, popularność i kasowość przedstawień bywa często tłumaczona opacznie jako objaw uznania dla ich jakości.

Z drugiej strony zapomina się również o możliwościach technicznych i artystycznych. Widzieliśmy to w „Romie“, gdzie mimo rzetelnego wysiłku wykonawców, odnosiło się wrażenie jakiegoś nieporozumienia. Słaba muzyka, niedołężny dramat i średnie wykonanie. Mimo pochlebnej krytyki, nie łudźmy się — tak jest! Przy możliwościach technicznych „Romy“ nie należało wystawiać widowiska fantastycznego, zwłaszcza o tak scenicznie trudnym układzie dramatu. Bajkowość wychodzi więc miejscami śmiesznie, dramatyczność nieprzekonywająco. Trudno w tych warunkach wymagać od młodego, niedostatecznie jeszcze wyrobionego muzycznie i aktorsko zespołu, aby mógł w tych warunkach dać dobre przedstawienie. Nie czuło się zresztą na nich opieki wokalistycznej i reżyserskiej.

A teraz o reżyserii. Stara sztampa operowa przejadła się już wszystkim. Znudzi się ona szybko nowemu widzowi (o którego nam szczególnie chodzi), który w operze szuka złudzeń dramatycznych, przekonywających i emocjonujących swym prawdopodobieństwem i na ich tle dopiero chłonie podświadomie piękno muzyki i wżywa się w jej nastrój. Pamiętać należy, że widz ten jest bardzo wrażliwy na sens widowiska i staje się bezkompromisowo krytyczny w chwili, kiedy złudzenie sceniczne jest naiwne, lub zgoła w swym prymitywie śmieszne. Nie wolno go więc zrażać, nie wolno go zatruwać wypocinami starej „Szkoły“ operowej, która w nowej rzeczywistości nie ma już nic do powiedzenia. Argumenty o „koncertowym“ układzie widowisk operowych są niedopuszczalne.

Opera, która w swych skarbcach posiada ogromne zasoby możliwości i która mimo wszystko powraca zwycięsko na wszystkie sceny, musi więc i u nas znaleźć opiekę i oprawę tak staranną i wytrawną, jaka się jej należy ze względu na rolę, którą spełniać może. To, że Roma nie ma sceny, która by zadowoliła wszystkie wymagania świeżej i śmiałej reżyserii, tłumaczyć może tylko częściowo lichotę wystawienia. Inscenizacja liczyć się musi z istotą i sensem akcji dramatycznej i „wodnica“ nie powinna wychodzić sobie spacerkiem za pluszową kotarę ani stawać na blankach obronnego muru, które sięgają jej do kostek. Natomiast wybór repertuaru, uwzględniający warunki techniczne sceny, może te niedostatki sprowadzić do minimum, a przez to można uniknąć inscenizacyjnych i reżyserskich błędów, które w widowisku takim, jak „Goplana“, rażą boleśnie.

Marian Turski

„Turoń“ i „Ostoja“

(Dokończenie ze strony trzeciej)

Drugiej nie było, rozpieprzono ją przed miesiącem w nieudałej akcji na kolei. Trzecia, czyli specjalna. Ślązak Kuśmider, „Jasny“, z cywila sierżant, tęgi i niski. Mundury rozmaite, nawet i poniemieckie jeszcze, choć tyle razy zakazywano. Cywilne marynarki. Brody ryżawe i czarne. Czterdziestu paru, najliczniejszy oddział. Łasy nade wszystko na baby i łup.

Dwie taczanki z cekaemami, jedna z „artylerią“, niemieckie batalionowe moździerze — i tu brodaci.

Tabory, kilkanaście chłopskich furmanek. Truchcikiem przewinęły się popod krzyżem, suchy jesienny kurz wionął w nozdrza. Pisarz oddziału, ten z brodą, spojrzał Turoniowi w oczy, bodaj, czy nie uśmiechnął się drwiąco. Na ostatniej jechał Ostoja.

Siedział, nogi zwiesiwszy w dół, przez drabinę, podrygiwał na wybojach. Nie popatrzył, gryzł słomkę. Dwóch ze specjalnej, jakby nigdy nic, siedziało za nim na słomie.

Turń ocknął się, skinął na Odweta. Wlazł ciężko na swoją gniadą kobyłę. Ruszyli kłusem na przełaj, boczną ścieżką wyprzedzając oddział. Wieś została, jeszcze zamarła od ich obecności, jakby psy oniemiały, krowom odechciało się ryczeć.

Jechali przez ciepły, dogasający wieczór wrześniowy. Pierwszy brzozowy zagajnik pachniał jeszcze latem, ale przyprószył drogę kilkoma garściami żółtych liści. Sosny, te już po jesiennemu wypełnione były grzybowym zapachem. Zapomniana od ostatniego deszczu kałuża cmoknęła pod kopytami. W lesie była już noc. Czekali z kwadrans na oddział. Szpica z Kiemliczem, już w szyku ubezpieczonym, ze szperaczami na czele, przesunęła się wreszcie, sprawnie i szybko. Nie dostrzegła ich wszakże, za kępą jałowców i skłębionej, karłowatej sośniny. Potem pierwsza, z furmankami. Specjalną Turoń zatrzymał, zawołał Kuśmidra, szepnął mu coś na ucho. Potem Odwetowi nakazał dopędzać z Gryglewiczem pierwszą, i tam czekać na niego. Dopiero, gdy odjechali, skinął na Ostoję.

Odczekał, aż ruszy Kuśmider ze swoimi. Ostoję puścił przodem, z Visem w ręku szedł za nim, potykając się o wykroty, zapatrzony w białą pręgę karku nad kołnierzem tamtego.

Ostoja szedł sprawnie, zerkając pod nogi, przeskakując przez karcze. Na polance, wypełnionej po kolana młodą osiną, zatrzymał się, odwrócił:

— Po co mamy się szwendać? Tutaj...

— Stul pysk! — Turoń dźgnął go rewolwerem w żebra. — Jazda dalej.

Jeszcze uszli paręset sosen. Ciemność wezbrała, pod koronami gęstych drzew skrawki nocnego nieba wydawały się ciemno - niebieskie, tylko one pozwalały dostrzec ten sam biały szlaczek nad kołnierzem.

— Dosyć, dalej nie pójdę! — Ostoja znów się odwrócił.

Turoń sapnął. Nie chciał gadaniny. Liczył, że w marszu... Diabli wiedzą, dlaczego nie zdobył się dotąd. Bijatyka?

— Macie mnie strzelać, to strzelajcie.

— Wiesz przynajmniej, dlaczego..

— Wiem — urwał tamten — pies was trącał, szybciej.

— Żeś się mnie przeciwstawił! — Turoń warknął. — Ja tu pan! Innych mi nie trzeba.

— Wcale nie dlatego. To tamten. Z brodą. Wiem o nim za dużo. I on tu pan... A mnie teraz wszystko jedno.

Turoń zamarł. Pochylił się naprzód, ścisnął Visa:

— Co wiesz?

— To przecież Ignac, od Bohuna. Jego Niemcy...

— Skąd wiesz?

— Dajcie mi spokój. Zapytajcie o niego w radomskim Gestapo. A zresztą, pomacajcie w waszej „Specjalnej“... Wszystko to drańswo. A wy...

Strzał padł gromki i huczał z pięć sekund, przewalając się pod sosnami. Ostoję targnęło w pół, siadł na ziemi, zwolna się wyciągnął, raz i drugi skręcił tułowiem, jakby szukając wygodniejszej pozycji między korzeniami sosny. Usta otworzył, zamiast okrzyku czy jęku wielki bąbel wychylił się mu na wargi, pękł, strumyczek krwi rozwodnionej śliną wartko spłynął po policzku i w uchu zebrało się czarne bajorko.

Pochylony nad nim, wpatrując się w już zgasłą twarz, Turoń jakby szukał jeszcze czegoś, co by należało natychmiast rozdeptać. Drugi raz podniósł Visa, prawie oparł o skroń, walnął. Ten strzał był cichszy. Tylko czaszka tamtego podskoczyła i znowu opadła.

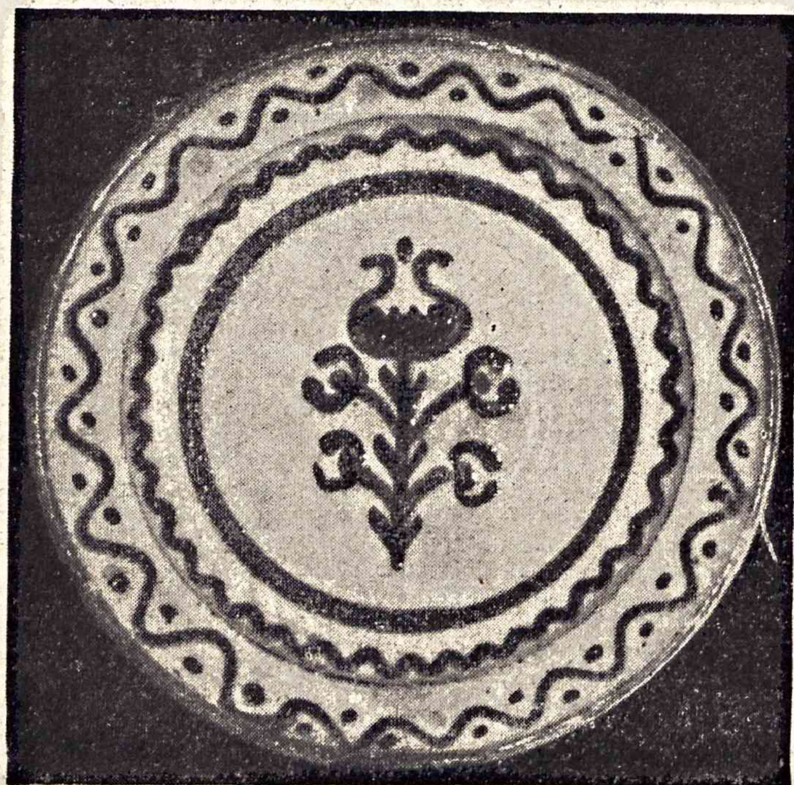
Przeszukał kieszenie, wyciągnął paczkę papierosów, kilkaset złotych, scyzoryk. Wstał, popatrzył. Jeszcze zerwał domorosłe, z blaszki wycięte szlify porucznikowskie. Już ruszył, ale po dwóch krokach jeszcze sobie coś przypomniał. Wrócił, ściągnął sprawnie pas z koalicyjką, otarł z nich coś, co wyglądało na krew, przymierzył. Pas był dobry, z miękkiej skóry i z mosiężnymi okuciami. Zdjął swój, prosty i twardy. Z trudem zapiął tamten na ostatnią dziurkę. Poklepał się po brzuchu. Potem się zamyślił, po chwili zdjął, splunął, cisnął go w bok. Włożył z powrotem swój, ruszył na drogę.

Jerzy Putrament

K O N K U R S

ODRODZENIA

»Poznajmy wartość sztuki ludowej«



1.



2.

Redakcja „Odrodzenia“ ogłasza konkurs pod hasłem „Poznajmy wartość sztuki ludowej“.

Zamieszczając w niniejszym numerze przykłady najtypowszych rodzajów twórczości ludowej z różnych regionów i w różnych technikach, redakcja chce tą drogą wzbudzić dalsze zainteresowanie i zapoczątkować dyskusję nad zagadnieniami sztuki ludowej oraz jej roli w kształtowaniu się nowej sztuki.

Warunki konkursu:

Czytelnicy, biorący udział w konkursie winni nadesłać na adres red. „Odrodzenia“ odpowiedzi na następujące pytania:

1. Jaki rodzaj wyrobów przemysłu ludowego przedstawiają poszczególne zdjęcia?
2. Z jakiego materiału i jakątechniką są te wyroby wykonane?
3. Z jakiej miejscowości?
3. Z jakiego terenu kraju pochodzą?

Termin nadsyłania odpowiedzi do 10 lutego.

Między 10 pierwszych prawidłowych odpowiedzi rozlosowane będą cenne nagrody, jak książki z zakresu zagadnień sztuki ludowej oraz przedmioty ludowego przemysłu artystycznego.

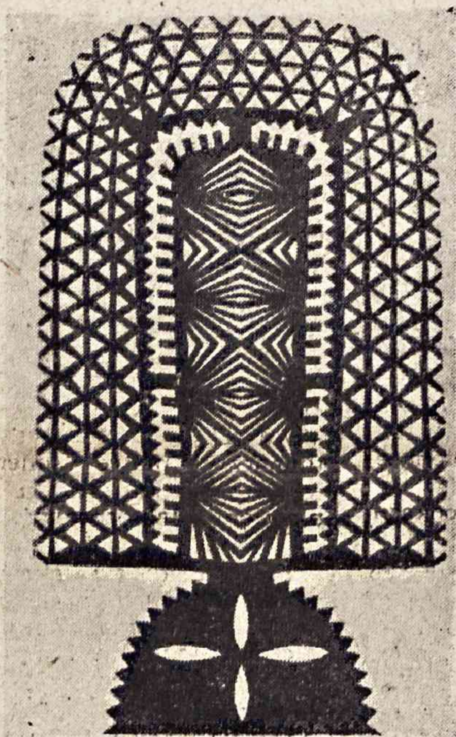
Dokładny wykaz nagród podamy w najbliższym numerze.

KUPON

Imię i nazwisko ....

Adres ....

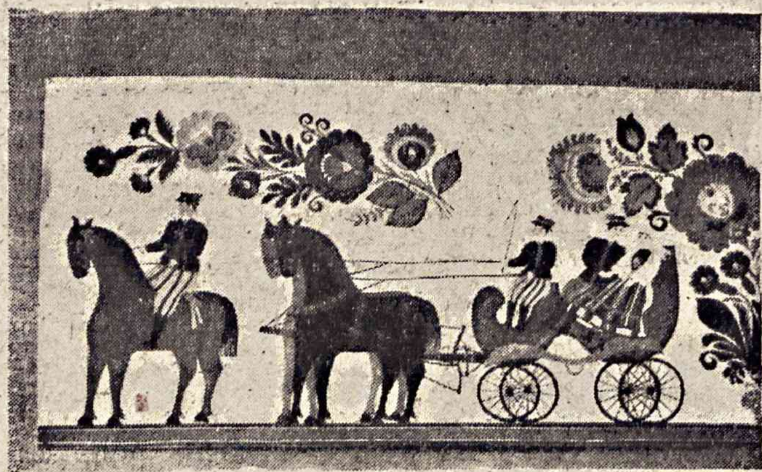
Kupon wypełniony należy wyciąć i z odpowiedziami nadesłać na adres redakcji „Odrodzenia“, W-wa, ul. Wiejska 16.



3.



4.



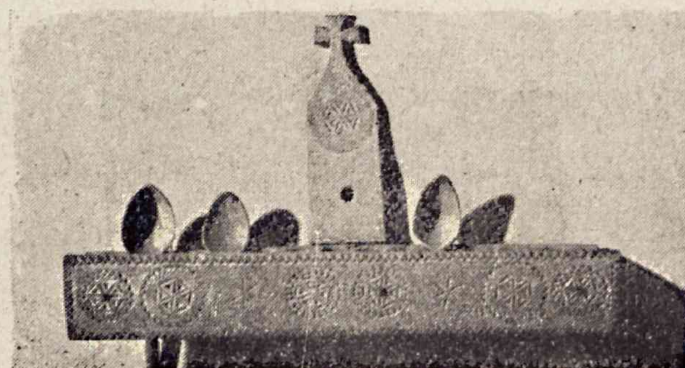
5.



6.



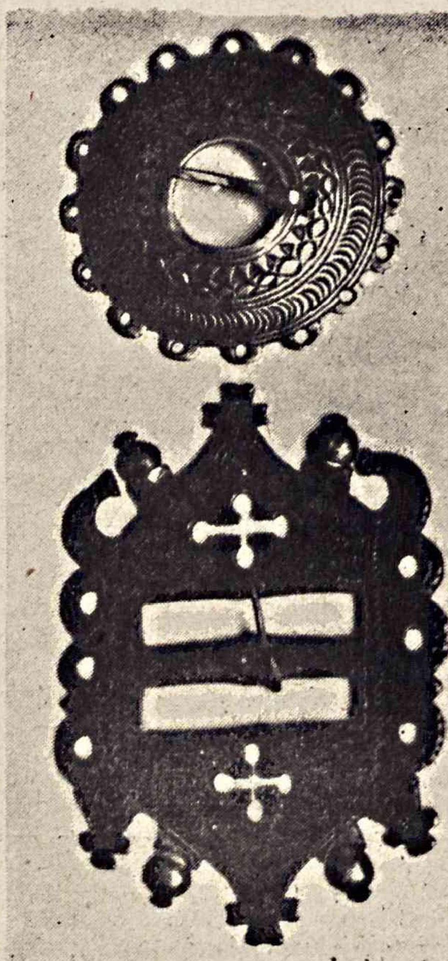
7.



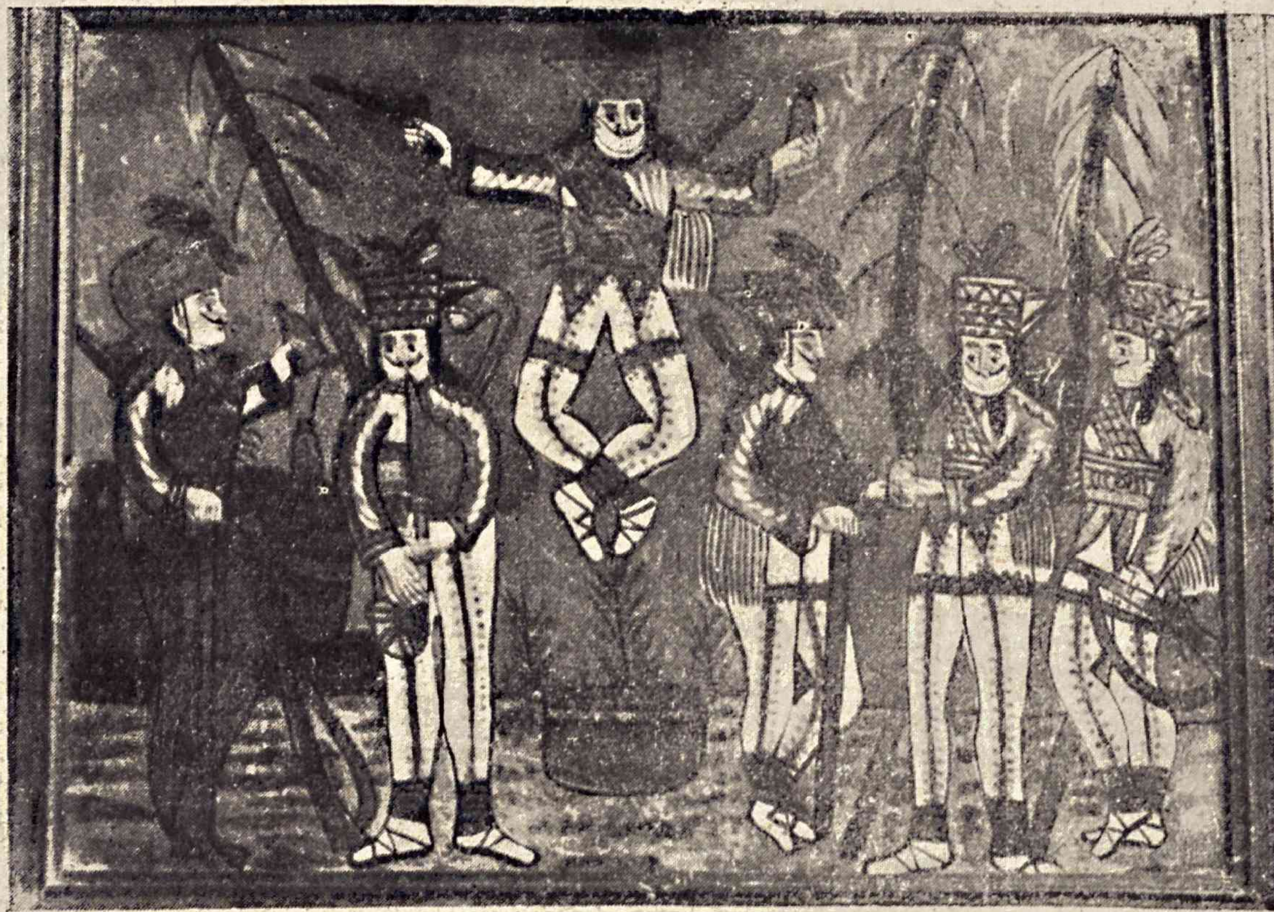
8.



9.



10.



11.

Redaktor Naczelny: JERZY BOREJSZA. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska nr 16, tel. 80-664 i 40-180 wewn 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13 Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12 tel. 810-26 Drukarnia nr 2 „Czytelnik“, Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 100 zł, kwartalna 300 zł — Konto w PKO — I. 4739 B-96988 Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik